Portal randkowy

Carcassonne, Francja

Miesz­kam w Oksy­ta­nii na przed­mie­ściach Car­cas­son­ne po­ło­żo­ne­go u pod­nó­ża Pi­re­ne­jów — opo­dal gra­ni­cy z Hisz­pa­nią. Nad mia­stem gó­ru­je śre­dnio­wiecz­na twier­dza wpi­sa­na na li­stę świa­to­we­go dzie­dzic­twa UNE­SCO, któ­ra każ­de­go roku zwa­bia mi­lio­ny tu­ry­stów z naj­dal­szych za­kąt­ków glo­bu. Ko­rzy­sta­my na tym my, miesz­kań­cy, czer­pią­cy zy­ski z ich ob­słu­gi w dzie­siąt­kach ho­te­li, pen­sjo­na­tów, set­kach punk­tów ga­stro­no­micz­nych, kio­skach z pa­miąt­ka­mi i biu­rach po­dró­ży. Jed­nym sło­wem, żyje nam się tu do­stat­nio, choć za­ki­cha­ne pań­stwo ścią­ga z nas hoj­ne po­dat­ki, aby utrzy­mać tę per­łę ar­chi­tek­tu­ry w do­sko­na­łej for­mie.

Nie po­cho­dzę stąd i nie mam tu nie­ste­ty ro­dzi­ny z wła­snym biz­ne­sem pro­wa­dzo­nym od po­ko­leń, jed­nak i tak so­bie świet­nie ra­dzę. Pra­cu­ję w re­cep­cji ma­łe­go ho­te­lu przy rue Bar­ba­ca­ne, w są­siedz­twie zam­ku. Bar­dzo to od­po­wia­da go­ściom, zwy­kle do­ce­nia­ją­cym wy­god­ny do­stęp do miej­sco­wych atrak­cji, dla­te­go nie na­rze­ka­my na pust­ki. Śród­ziem­no­mor­ski kli­mat, któ­ry pa­nu­je w tej czę­ści Fran­cji, nie tyl­ko umoż­li­wia upra­wę wi­no­ro­śli na prze­my­sło­wą ska­lę, lecz tak­że spro­wa­dza się za­sad­ni­czo do dwóch se­zo­nów — umiar­ko­wa­nie chłod­ne­go i go­rą­ce­go — stąd stru­mień tu­ry­stów pły­nie do nas nie­mal nie­prze­rwa­nie przez cały rok.

Mój mąż, Mar­cel, jest co praw­da miej­sco­wy, ale też nie wy­wo­dzi się z bo­ga­te­go miesz­czań­stwa, lecz — jak sam mówi — z niż­szej kla­sy śred­niej. Oso­bi­ście mam wąt­pli­wo­ści, czy taka w ogó­le ist­nie­je, ale nie wy­pro­wa­dzam go z błę­du. W koń­cu, je­śli jest mu to do cze­go­kol­wiek po­trzeb­ne, to cze­mu nie? *Vo­ilà*!

Od ukoń­cze­nia szko­ły śred­niej Mar­cel jest kie­row­cą i od lat pra­cu­je w lo­kal­nej fir­mie wy­naj­mu­ją­cej au­to­ka­ry.

— Co­let­te, wi­dzia­łaś gdzieś moje spin­ki? Od wczo­raj nie mogę ich zna­leźć — za­wo­łał do mnie któ­re­goś let­nie­go dnia z kuch­ni.

Ro­zej­rza­łam się po po­ko­ju, ale nie rzu­ci­ły mi się w oczy.

— Nie. Na pew­no je wczo­raj za­ło­ży­łeś? — zdzi­wi­łam się, bo nie pa­mię­ta­łam. — A nie ma ich w pu­deł­ku? — do­rzu­ci­łam bez prze­ko­na­nia.

— Gdy­by były, to­bym ich nie szu­kał, nie są­dzisz? — za­py­tał nie­przy­jem­nie, jak­bym była od­po­wie­dzial­na za ich znik­nię­cie.

Mój mąż bywa oschły — je­śli mogę tak to ująć. Zro­bił się draż­li­wy i ofu­ku­je mnie za byle co. To fakt, że w cza­sie naj­wyż­sze­go se­zo­nu bywa prze­pra­co­wa­ny, więc może tu­taj leży przy­czy­na? Mam na­dzie­ję, że wkrót­ce się uspo­koi i wró­ci do emo­cjo­nal­nej rów­no­wa­gi, gdy z na­dej­ściem chłod­niej­szych dni ruch tu­ry­stycz­ny ze­lże­je ra­zem z licz­bą do­dat­ko­wych go­dzin, któ­rych bra­nia nie może od­mó­wić sze­fo­wi.

Ob­ser­wu­ję, że w cią­gu kil­ku ostat­nich lat Mar­cel po­sta­rzał się i wy­le­niał. Po jego nie­gdyś gę­stej kę­pie kru­czo­czar­nych piór po­zo­sta­ło mgli­ste wspo­mnie­nie. Kie­dyś my­śla­łam, że po czter­dzie­st­ce bę­dzie­my prze­ży­wać dru­gą mło­dość i ko­rzy­stać z — nie bój­my się tego sło­wa — ani­mu­szu, jaki na­tu­ra daje czło­wie­ko­wi na tym eta­pie ży­cia. Na przy­kład, że bę­dzie­my uda­wać się na pie­sze albo ro­we­ro­we wy­ciecz­ki po oko­li­cy. Mamy mnó­stwo za­pie­ra­ją­cych dech w pier­siach miejsc do dys­po­zy­cji, choć­by po­śród zie­lo­nych wznie­sień mię­dzy Pa­la­ja a Vil­le­flo­ure. A na­wet da­lej, aż do sa­mych Pi­re­ne­jów. Jed­nak naj­wi­docz­niej na­tu­ra nie ską­pi wi­go­ru je­dy­nie doj­rza­łym ko­bie­tom, bo mam wra­że­nie, że fa­ce­tów to za cho­le­rę nim nie ob­da­ro­wu­je. Ja nie umiem usie­dzieć na tył­ku, dla­te­go uczest­ni­czę w roz­ma­itych za­ję­ciach spa­la­ją­cych nie­spo­ży­te za­so­by mo­jej ener­gii, jak fit­ness, pły­wa­nie czy jog­ging. Po­szła­bym też chęt­nie na ta­niec, ale nie mam z kim. Za to za­wsze uczest­ni­czę w lo­kal­nych mi­ni­ma­ra­to­nach na rol­kach, no i w ogó­le „sza­le­ję”, jak ma­wia mój mąż — czy­li gość przy­ku­ty do ka­na­py i przy­spa­wa­ny do pi­lo­ta od te­le­wi­zo­ra. Mar­cel uwa­ża, że tak cięż­ko ha­ru­je przez całe dnie, że ma pra­wo spę­dzać wol­ny czas, jak chce, i ma w tym wie­le ra­cji, choć nie je­stem pew­na, czy mu to wy­cho­dzi na zdro­wie. W koń­cu w ro­bo­cie tak­że sie­dzi, tyle że za kół­kiem. Sama wolę upra­wiać sport niż go oglą­dać, a tym bar­dziej emo­cjo­no­wać się, gdy prak­ty­ku­ją go inni — no ale ja to nie on. Mogę uczci­wie po­wie­dzieć, że Mar­cel ge­ne­ral­nie o sie­bie nie dba. By­wa­ją okre­sy, w któ­rych się pod­cią­ga, lecz zda­rza­ją się one co­raz rza­dziej. Ostat­nio tro­chę schudł i za­czął sta­ran­niej się ubie­rać, jed­nak fi­zycz­nie nie robi ze sobą ni­cze­go kon­kret­ne­go. Zwy­czaj­nie mi kap­ca­nie­je, bo dla mnie sta­rość to in­te­lek­tu­al­ne le­ni­stwo i brak stret­chin­gu. I co mam z ta­kim fan­tem zro­bić? Nic. Mu­szę go na­dal ko­chać, ja­kim jest… Roz­czu­la mnie, gdy co rano za­cze­su­je przed lu­strem ten swój fryz, dzie­ląc trzy siwe wło­ski na lewo, a dwa po­zo­sta­łe na pra­wo. Lu­bię się nim opie­ko­wać.

— Nie do­sta­nę bu­zia­ka na do wi­dze­nia?

Nad­sta­wiam po­li­czek, ale wo­la­ła­bym, aby sam wy­szedł z ini­cja­ty­wą. Nie chcia­ła­bym, aby­śmy sta­li się jed­nym z tych mał­żeństw, któ­re nie­zau­wa­żal­nie prze­sta­ły być dla sie­bie czu­łe.

— Do zo­ba­cze­nia — rzu­ca, le­d­wie mu­ska­jąc war­ga­mi moje czo­ło.

Mu­szę z nim o tym po­ga­dać, bo ta­kie ży­cie mnie nie sa­tys­fak­cjo­nu­je. To mi nie wy­star­czy. Ale nie te­raz. Jak przyj­dzie lep­szy mo­ment. Może zimą, gdy ze­lże­je ruch? To chy­ba nie jest wy­ma­ga­nie nie wia­do­mo cze­go? Tak mi się wy­da­je i nie tyl­ko mnie, gdyż tego sa­me­go zda­nia jest moja naj­lep­sza przy­ja­ciół­ka, Clau­di­ne. Mar­cel na­zy­wa ją Clau­di­ne 3XL. Hmm. Nie mó­wi­łam jej tego oczy­wi­ście, ale boję się, że któ­re­goś dnia ten wa­riat sam wy­pa­li do niej coś w tym gu­ście. Bę­dzie wte­dy jat­ka, bo moja psiap­sió­ła to sil­na, zde­cy­do­wa­na i ener­gicz­na osób­ka. Spo­ty­ka­my się w każ­dej wol­nej chwi­li, ale naj­chęt­niej roz­trzą­sa­my wszel­kie spra­wy przy so­bot­nich kre­mów­kach z kaw­ką po fit­nes­sie. Wca­le nie uwa­żam, że te dwie rze­czy się wy­klu­cza­ją. Wręcz prze­ciw­nie — świet­nie się uzu­peł­nia­ją, bo na przy­jem­no­ści trze­ba so­bie za­słu­żyć! Zresz­tą, Bo­giem a praw­dą, na si­łow­nię cho­dzę dla Clau­di­ne, bo ona tego bar­dziej po­trze­bu­je niż ja. Ale to tak mię­dzy nami oczy­wi­ście…

— O któ­rej bę­dziesz? — spy­ta­łam jesz­cze.

— Nie mam po­ję­cia. René jest nie­prze­wi­dy­wal­ny i ła­pie każ­dą oka­zję do za­rob­ku, jaka się nada­rzy — od­parł, sto­jąc już w drzwiach. — Dam znać! — do­rzu­cił i za­mknął je za sobą.

Po­sprzą­ta­łam ze sto­łu, ogar­nę­łam cha­łu­pę, po­tem sie­bie i wy­szłam do pra­cy. Bar­dzo lu­bię swo­je za­ję­cie. Ho­tel to miej­sce, w któ­rym czu­ję się do­ce­nia­na i speł­nio­na. Po dro­dze, na pla­cu Gam­bet­ta, ku­pię chru­pią­cą ba­giet­kę, oseł­kę świe­że­go ma­sła od praw­dzi­wej kro­wy, wiel­kie­go po­mi­do­ra ma­li­no­we­go, mię­tę do za­pa­rza­nia cu­dow­ne­go na­pa­ru i ko­smicz­nie cuch­ną­cy ser z przy­pra­wa­mi, któ­ry uwiel­biam. To bę­dzie ko­lej­ny prze­pysz­ny dzio­nek!

Tym ra­zem Mar­cel wró­cił z pra­cy bar­dzo póź­no. W do­dat­ku był na bani. Bar­dzo mi się to nie spodo­ba­ło, szcze­gól­nie że mógł za­dzwo­nić i mnie uprze­dzić o pla­no­wa­nym wyj­ściu. Nie mia­ła­bym nic prze­ciw­ko temu, cho­ciaż ostat­nio zda­rza mu się to zbyt czę­sto. Za­sta­na­wia­łam się, czy coś mu się nie sta­ło. Miał wy­łą­czo­ny te­le­fon i ni­g­dzie nie mog­łam się do­dzwo­nić — ani do jego sze­fa René, ani do ni­ko­go in­ne­go. Zde­ner­wo­wa­łam się.

— Słu­chaj, Co­let­te — po­wie­dział beł­ko­tli­wie, cuch­nąc knaj­pą. — Męż­czy­zna cza­sem musi gdzieś wyjść z ko­le­ga­mi. W koń­cu je­stem do­ro­sły.

— No, nie­ko­niecz­nie — od­po­wie­dzia­łam mu szorst­ko i uchy­li­łam się od pró­by pi­jac­kie­go ob­ła­pia­nia. — Do­ro­sły za­dzwo­nił­by do żony i ją uprze­dził. Prze­cież nie bro­nię ci spo­ty­kać się z ko­le­ga­mi.

— Ale tam! — Mach­nął ręką, za­wie­wa­jąc mi przed twa­rzą roz­pię­tym rę­ka­wem. — Daj mi spo­kój! — Za­chwiał się przy drzwiach ła­zien­ki. — No, na­pi­łem się i co? Wiel­kie mi aj-waj! — Sta­nął, bu­ja­jąc się w tej roz­cheł­sta­nej ko­szu­li na pier­siach jak po­sąg wal­czą­ce­go ze sztor­mem ma­ry­na­rza. Z tym że w miej­sce ste­ru dzier­żył fra­mu­gę, a wła­ści­wie trzy­mał się jej; a za­miast z Nep­tu­nem zma­gał się z gra­wi­ta­cją. Moim zda­niem sro­mot­nie tę wal­kę prze­gry­wał.

— Da­lej nie masz spi­nek? — za­uwa­ży­łam ze zdu­mie­niem.

— A kit im w oko! — rzu­cił i znik­nął w ła­zien­ce.

Za­nie­po­ko­iłam się, bo nie chcia­łam, żeby cho­dził do pra­cy jak łaj­za. Wspo­mi­na­łam, że od nie­daw­na za­czął się pod tym wzglę­dem bar­dziej sta­rać i to mi od­po­wia­da­ło — w koń­cu mnie re­pre­zen­to­wał. Za­czę­łam więc szpe­rać po róż­nych za­ka­mar­kach domu, w któ­rych mógł je zo­sta­wić, a on w tym cza­sie ko­tło­wał się w klo­pie.

— Czy mogę po­grze­bać w two­jej tor­bie? — po­wie­dzia­łam pod­nie­sio­nym gło­sem do szy­by w drzwiach to­a­le­ty.

— Cze­go ty chcesz? — za­py­tał nie­ład­nie, wal­cząc, jak się do­my­śla­łam, ze spodnia­mi.

— Ni­cze­go — od­po­wie­dzia­łam do sie­bie i się­gnę­łam po jego kon­duk­tor­kę.

Po­szłam z nią do kuch­ni i roz­ło­ży­łam ją na sto­le. Tam tak­że nie było tych cho­ler­nych spi­nek. Cho­ciaż…

— Jest! — mruk­nę­łam pod no­sem. Była jed­na.

„Bez sen­su” — uzna­łam, prze­trzą­sa­jąc jego sa­kwo­jaż bar­dziej sys­te­ma­tycz­nie, ale dru­giej nie zna­la­złam.

W tym cza­sie Mar­cel wy­ka­ra­skał się z ła­zien­ki i przy­szedł do mnie w sa­mym szla­fro­ku. „Ubra­nie na pew­no po­rzu­cił gdzie po­pa­dło” — za­wy­ro­ko­wa­łam, umę­czo­na wiecz­nym ogar­nia­niem jego cha­otycz­nej rze­czy­wi­sto­ści. „To się ni­g­dy nie skoń­czy” — przy­zna­łam się w du­chu do swo­jej po­raż­ki w wal­ce ze skut­ka­mi fa­tal­ne­go sys­te­mu wy­cho­waw­cze­go te­ścio­wej.

— Gdzie masz dru­gą spin­kę? — spy­ta­łam i po­ka­za­łam na dło­ni jed­ną z nich.

— A co? — za­py­tał idio­tycz­nie i się­gnął do lo­dów­ki. — Od kie­dy prze­szu­ku­jesz moje rze­czy? Kto ci po­zwo­lił? — spy­tał to­nem, jak­by stwier­dzał fak­ty, a nie py­tał.

— Jest jed­na, to co się sta­ło z dru­gą? — cią­gnę­łam zdez­o­rien­to­wa­na, gdyż nie do­strze­ga­łam w tym lo­gi­ki. — I po co ją scho­wa­łeś do tor­by? — Pod­par­łam się ręką o bio­dro, pod­świa­do­mie go­to­wa do kon­fron­ta­cji. Gdy­by był trzeź­wy, na­tych­miast by to za­uwa­żył, ale nie był…

— Nie wiem. A gdzie mia­łem ją wsa­dzić? — Beł­ko­tli­wy ton go nie opusz­czał na­wet po prysz­ni­cu. — Gdzieś je wi­docz­nie zdją­łem i jed­na się mu­sia­ła za­wie­ru­szyć. Ku­pisz mi nowe. — Znów mach­nął nie­dba­le ręką, bio­rąc wiel­ki łyk mle­ka, któ­re po­cie­kło mu z bro­dy na szla­frok i pod­ło­gę.

— Patrz, co ro­bisz, Mar­cel! — rzu­ci­łam już ze­źlo­na.

— No co? — od­szczek­nął. — Cały czas cze­goś ode mnie chcesz! — Za­chwiał się z bu­tel­ką, więc za­raz oparł się tył­kiem o szaf­kę. — O co ci cho­dzi, ko­bie­to? — Jego nie­ru­cho­my wzrok zda­wał się ogar­niać całą kuch­nię na­raz, jed­no­cze­śnie nie sku­pia­jąc się na ni­czym kon­kret­nym.

— Przy­sze­dłeś bar­dzo póź­no, a ja przez cały wie­czór się o cie­bie mar­twi­łam. Nie od­po­wia­da­łeś na te­le­fo­ny. Już mia­łam dzwo­nić do szpi­ta­la…

— No ja­sne! — rzu­cił z prze­ką­sem. — Trze­ba było od razu do KGB, CIA i FBI — za­śmiał się ze swo­je­go mar­ne­go dow­ci­pu.

— Wró­ci­łeś pi­ja­ny — wy­li­cza­łam nie­zra­żo­na. — Wpa­ro­wa­łeś do ki­bla i na pew­no nie po­sprzą­ta­łeś po so­bie rze­czy, a te­raz po­chla­pa­łeś świe­żo upra­ny szla­frok i czy­stą pod­ło­gę. Kto, two­im cho­ler­nym zda­niem, to wszyst­ko po­sprzą­ta? Wi­dzisz tu ja­kąś słu­żą­cą? Wy­star­czy­ło ci kil­ka mi­nut, a ja mam sprzą­ta­nie ła­zien­ki, skła­da­nie two­je­go ubra­nia, pra­nie szla­fro­ka i my­cie pod­ło­gi. A może ty raz ru­szył­byś swój ty­łek, hę? I nie każę ci, broń Boże, sprzą­tać cze­go­kol­wiek po mnie, tak jak ty tego wy­ma­gasz, tyl­ko po so­bie. Co? — Spo­glą­da­łam na nie­go już zu­peł­nie zła. „Naj­pierw pie­ści­ła się z nim mat­ka, a te­raz ja! Tak to jest, jak się wyj­dzie za ma­min­syn­ka” — przy­zna­łam w du­chu, a nie na głos, żeby nie eska­lo­wać i prze­kro­czyć punkt bez po­wro­tu.

— Daj mi spo­kój! — Od­wró­cił się na pię­cie i pró­bu­jąc uciec do sa­lo­nu, o mało nie się wy­pie­przył w holu.

Od pew­ne­go cza­su umiał tyl­ko ucie­kać przed nie­wy­god­ny­mi sy­tu­acja­mi, roz­mo­wa­mi i obo­wiąz­ka­mi, za­miast sta­wiać czo­ła pro­ble­mom, jak praw­dzi­wy fa­cet. „Co się z nami sta­ło?” — wes­tchnę­łam do sie­bie. „Żeby choć po­pro­sił o moją po­moc albo ją do­strze­gał” — za­uwa­ży­łam w my­ślach.

— Ja cięż­ko pra­cu­ję! — rzu­cił, wy­szedł­szy cało z za­krę­tu w holu, i umknął w kie­run­ku ulu­bio­nej sofy przed te­le­wi­zo­rem. Oczy­wi­ście otwar­ta bu­tel­ka sta­ła te­raz przede mną w ka­łu­ży mle­ka, któ­re ście­ka­ło po ścian­kach.

— A ja to co? — po­wie­dzia­łam gło­śniej, aby to do­tar­ło do jego uszu. — Ba­wię się po­po­łu­dnia­mi z ko­le­ga­mi? — Star­łam blat, wy­tar­łam bu­tel­kę, umy­łam ka­wa­łek pod­ło­gi i scho­wa­łam za­mknię­te mle­ko do lo­dów­ki. „Po­win­nam je zo­sta­wić, aż ski­śnie, ale to by ozna­cza­ło, że naj­pierw mu­sia­ła­bym zno­sić jego smród, a na ko­niec i tak sama je sprząt­nąć” — za­uwa­ży­łam i po­szłam do sa­lo­nu za Mar­ce­lem.

— Nikt ci nie bro­ni wyjść z ko­le­żan­ka­mi — od­rzekł za­do­wo­lo­ny z sie­bie, kła­dąc nogi na bla­cie sto­li­ka.

— Ale za­raz: po­wie­dzia­łeś, że zdej­mo­wa­łeś spin­ki w pra­cy. Po co?

— Czy ja po­wie­dzia­łem coś ta­kie­go? O co ci zno­wu cho­dzi? — Skrzy­wił się, szu­ka­jąc pi­lo­ta.

— Stwier­dzi­łeś przed chwi­lą, że mu­sia­łeś gdzieś zdjąć spin­ki, dla­te­go jed­na się za­wie­ru­szy­ła, więc py­tam, po co w pra­cy zdej­mo­wa­łeś spin­ki. — Sta­nę­łam mię­dzy nim a te­le­wi­zo­rem.

— Nie wiem. Od­czep się. Może my­łem ręce w ba­zie. Nie pa­mię­tam. — Usi­ło­wał wy­chy­lić się za mnie, aby ob­ser­wo­wać pro­gram.

— Słu­chaj, co się dzie­je? — spy­ta­łam, pró­bu­jąc spoj­rzeć mu w oczy. Nic nie ro­zu­mia­łam. Dla mnie było to nie­ra­cjo­nal­ne. Nie umia­ła­bym okre­ślić, co nie gra­ło z tym spin­ka­mi, ale de­fi­ni­tyw­nie coś było na rze­czy.

— Co to znów za wiel­ki pro­blem? — Na­dal uni­kał mo­je­go wzro­ku. Uda­wał, że oglą­da te­le­wi­zję.

— Krę­cisz — orze­kłam i wy­szłam z sa­lo­nu. „Nie będę oglą­da­ła z nim dur­nych me­czów ani se­ria­li. Idę po­czy­tać w łóż­ku” — po­sta­no­wi­łam w du­chu. „Ja­kie to głu­pie, że nie jest ze mną szcze­ry. Prze­cież mógł­by mi po­wie­dzieć, jak je zgu­bił, i tyle. Nie je­stem mu wro­giem” — po­my­śla­łam z ża­lem. „Osta­tecz­nie to nie jest wiel­ka spra­wa, tym­cza­sem on za­cho­wu­je się jak dzi­wak” — przy­szło mi jesz­cze do gło­wy, za­nim za­głę­bi­łam się w ulu­bio­nej lek­tu­rze.

Bar­dziej po­ży­tecz­ne by­ło­by za­pew­ne prze­stu­dio­wa­nie po­rad­ni­ka w ro­dza­ju *Jak ra­to­wać swo­je mał­żeń­stwo*.

Po do­brej go­dzi­nie po­szłam spraw­dzić, co się z nim dzie­je. Po dro­dze przy­po­mnia­łam so­bie o ła­zien­ce i uprząt­nę­łam jego rze­czy. Oczy­wi­ście le­ża­ły zdep­ta­ne na pod­ło­dze, a nie choć­by za­rzu­co­ne na pral­kę. Gdy we­szłam do sa­lo­nu, le­żał bo­kiem na so­fie, ci­cho po­chra­pu­jąc. Wy­łą­czy­łam te­le­wi­zor i po­trzą­snę­łam nim, żeby go zbu­dzić, bo no­co­wa­nie tam nie mia­ło sen­su. „Ju­tro bę­dzie zmę­czo­ny” — za­uwa­ży­łam w my­ślach i przy­po­mnia­łam so­bie ostat­ni taki raz, w su­mie nie­daw­no. Te­raz był rów­nie nie­przy­tom­ny co wte­dy, wszel­kie wy­sił­ki by po­sta­wić go na nogi, pew­nie speł­zną na ni­czym, jed­nak pod­ję­łam pró­bę po­sa­dze­nia go w pio­nie. W trak­cie szar­pa­nia szla­frok osu­nął mu się z ra­mie­nia. Spoj­rza­łam na jego ło­pat­kę.

— Nie! — rzu­ci­łam szep­tem w pierw­szej chwi­li.

Od­ru­cho­wo wy­pro­sto­wa­łam się i wy­pu­ści­łam go z rąk, więc opadł z po­wro­tem na sofę jak wo­rek kar­to­fli — oczy­wi­ście nie prze­ry­wa­jąc pi­jac­kie­go snu. Po krót­kiej pau­zie, kie­dy to cen­trum ana­li­tycz­ne mo­je­go mó­zgu zro­bi­ło krót­ką na­ra­dę wo­jen­ną, po­now­nie się na­chy­li­łam, od­su­nę­łam ma­te­riał i spoj­rza­łam na jego ple­cy.

— No nie! — tym ra­zem wy­po­wie­dzia­łam to na głos.

On tyl­ko po­ru­szył się, coś mru­cząc.

Nie wiem, skąd wzię­ła się we mnie ta siła spo­ko­ju, ale zde­cy­do­wa­nym kro­kiem i z kom­plet­nym opa­no­wa­niem po­szłam do holu, by wy­jąć z to­reb­ki ko­mór­kę. Z zim­ną krwią, jak Ala­in De­lon w *Kla­nie Sy­cy­lij­czy­ków*, usta­wi­łam ją w tryb ro­bie­nia zdjęć z lam­pą i po­de­szłam do śpią­ce­go wora. Prze­wró­ci­łam go jed­nym ru­chem z boku na brzuch (ach, ta prze­peł­nia­ją­ca mocą ad­re­na­li­na!), twa­rzą na sofę i jesz­cze da­lej zsu­nę­łam szla­frok, nie­mal do po­ślad­ków. Po­cze­ka­łam, aż apa­rat w te­le­fo­nie usta­wi ostrość, i za­czę­łam ro­bić fo­to­gra­fie jego ple­ców, ka­wa­łek po ka­wał­ku, aby wy­szły te wszyst­kie cho­ler­ne za­dra­pa­nia. Miał całe ple­cy zo­ra­ne czy­imiś ostry­mi pa­znok­cia­mi…

Póź­niej „życz­li­wi” do­nie­śli mi, że wszy­scy od daw­na wie­dzie­li, że ma ko­chan­kę. Szko­da tyl­ko, że ja o tym nie wie­dzia­łam. Wy­szłam na idiot­kę.

Dłu­go to prze­ży­wa­łam. Nie mo­głam ni­g­dzie zna­leźć so­bie miej­sca. Pierw­sze trzy mie­sią­ce pła­ka­łam non stop. W szloch wpa­da­łam z byle po­wo­du. Ko­lej­ne pół roku ry­cza­łam na każ­de wspo­mnie­nie o nim, o nas. Już daw­no za­rzu­ci­łam czy­ta­nie ulu­bio­nych ksią­żek o mi­ło­ści, boby mi chy­ba oczy wy­pa­dły z żalu. Po roku zda­rza­ło mi się jesz­cze wyć, gdy zo­ba­czy­łam za­jaw­kę ro­man­tycz­ne­go fil­mu, li­rycz­ny te­le­dysk, a na­wet nie­któ­re ro­dzin­ne… re­kla­my. Ni­g­dy bym sie­bie o to nie po­dej­rze­wa­ła! Re­kla­my? Mat­ko! Ci­chy spazm na smut­nym fil­mie na do­brą spra­wę nie opusz­cza mnie do dzi­siaj…

W pierw­szym ty­go­dniu po moim od­kry­ciu na­zbie­ra­łam wsze­la­kich ta­ble­tek na sen. Cho­dzi­łam do róż­nych ap­tek, żeby nikt się nie zo­rien­to­wał, co knu­ję. Mo­gła­bym nimi wy­bić pół Oksy­ta­nii — a na pew­no gmi­ny Car­cas­son­ne. Osta­tecz­nie ni­g­dy ich nie uży­łam, ale prag­nę­łam mieć al­ter­na­ty­wę, gdy­bym jed­nak do­szła do wnio­sku, że moje ży­cie bez Mar­ce­la nie ma sen­su. Od­cię­łam się od przy­ja­ciół — w każ­dym ra­zie tych, któ­rzy przy mnie lo­jal­nie po­zo­sta­li. No, może poza Clau­di­ne, ale to nie­mal moja więk­sza sio­stra. Spę­dzi­ły­śmy ra­zem wie­le go­dzin, głów­nie na… mil­cze­niu o tym, co się sta­ło, bo co w tej sy­tu­acji moż­na po­wie­dzieć mą­dre­go? Nie czu­łam też po­trze­by wał­ko­wa­nia te­ma­tu z ob­cy­mi ludź­mi ani uża­la­nia się nad sobą. Nie chcia­łam mó­wić źle o mężu, więc nie mó­wi­łam o nim wca­le. No bo cóż mog­łam wy­ar­ty­ku­ło­wać poza usta­wicz­nym ob­wi­nia­niem i oskar­ża­niem go o naj­gor­sze? Na po­cząt­ku łu­dzi­łam się, że do mnie wró­ci, a w ta­kim przy­pad­ku ob­ra­bia­nie mu tył­ka przed in­ny­mi by­ło­by bez sen­su. Wy­obra­ża­cie so­bie taką sce­nę?

— Wi­taj­cie, ko­cha­ni, ro­dzi­no i przy­ja­cie­le. Wła­śnie po­go­dzi­łam się z Mar­ce­lem. To, jak wspo­mi­na­łam, skoń­czo­ny zła­mas, ale te­raz na pew­no go zno­wu po­lu­bi­cie i wszyst­ko do­brze się uło­ży...

Prze­pra­szam. Cią­gle, jak wi­dać, to we mnie sie­dzi.

Z cza­sem prze­sta­łam li­czyć na jego po­wrót, a znacz­nie póź­niej nie czu­łam już ta­kiej po­trze­by. Na koń­cu do­szłam do wnio­sku, że mi to wisi i po­wie­wa. A jed­no­cze­śnie, że ko­cham tyl­ko tam­te­go daw­ne­go Mar­ce­la, za któ­re­go wy­cho­dzi­łam za mąż, któ­ry był czu­ły i tro­skli­wy; ca­ło­wał mnie nie­ustan­nie i nie po­tra­fił ode­rwać ode mnie rąk. Któ­ry nie le­żał go­dzi­na­mi przed te­le­wi­zo­rem i nie pier­dział jak — nie przy­mie­rza­jąc — na­sza uko­cha­na, nie­ży­ją­ca już sucz­ka Va­gin.

Mar­cel nie chce mi dać roz­wo­du. Po­dob­no fa­ce­tów po­zna­je się po tym, jak koń­czą. Za­pew­niam, że kre­ty­nów szcze­gól­nie. Po­wie­dział, że to w ogó­le nie jego wina, tyl­ko moja. Ty­po­we! Nie­zmie­rzo­na jest siła pro­jek­cji! Po­nad­to, że mu zbrzy­dłam i że wszy­scy praw­ni­cy to idio­ci — a zwłasz­cza moi. Nie po­zwo­li, abym za­bra­ła jego miesz­ka­nie, bo to on na nie za­ro­bił. Do­pó­ki mu go nie od­dam, bo wy­wa­li­łam go za drzwi i zmie­ni­łam zam­ki, do­pó­ty nie uło­żę so­bie ży­cia z ni­kim in­nym. Pie­przę go, ob­srań­ca. Mam gdzieś jego zgo­dę! W tym sa­mym miej­scu mam tak­że ukła­da­nie so­bie ży­cia z ko­lej­nym dup­kiem!

Za to Clau­di­ne nie­zmor­do­wa­nie za­wra­ca mi gło­wę fa­ce­ta­mi: „Czy się z ja­kimś spo­ty­kasz? Czy już ko­goś po­zna­łaś? Czy ty wiesz, ile masz lat? Czy zda­jesz so­bie spra­wę, że ze­gar tyka?”. Mat­ko Prze­naj­święt­sza! Kie­dyś nie wy­trzy­mam i po­wiem jej, żeby spoj­rza­ła na sie­bie. Od tylu lat jest sama, że na pew­no nie pa­mię­ta, jak wy­glą­da czło­nek, a już z pew­no­ścią jak sma­ku­je! No, może jej tak nie po­wiem, bo ją prze­cież ko­cham, wa­riat­kę.

Mi­nę­ły już dwa lata od na­sze­go roz­sta­nia. Praw­ni­cy są bez­rad­ni. Mar­cel miał ra­cję — są idio­ta­mi; przede wszyst­kim ci moi. Jego sku­tecz­nie ich blo­ku­ją, więc w kwe­stii lo­ka­lu miesz­kal­ne­go i roz­wo­du mamy klincz. Z nim sa­mym nie mam już kon­tak­tu, poza nie­licz­ny­mi pi­sma­mi prze­sy­ła­ny­mi w tę i we w tę mię­dzy me­ce­na­sa­mi. Tam­ta baba po­dob­no go rzu­ci­ła. Na pew­no zo­rien­to­wa­ła się, ja­kim jest dup­kiem. Mó­wią, że pra­cu­je te­raz na czar­no, gdyż ro­bo­tę tak­że stra­cił. Po­noć przez pi­cie. Jak jego świę­tej pa­mię­ci ta­tuś. Za dużo ko­leż­ków, kart i win­ka. Ale kto ma go te­raz przy­pil­no­wać? *Ma­man*? Już to wi­dzę! Dla niej cały świat jest temu wi­nien, lecz nie on sam! Idiot­ka! W ogó­le my, ko­bie­ty, to kre­tyn­ki. Na co dzień je­ste­śmy fe­mi­nist­ka­mi wal­czą­cy­mi o swo­je pra­wa, rów­ne za­rob­ki i spra­wie­dli­we trak­to­wa­nie przez męż­czyzn, a w za­ci­szach do­mo­wych wła­sny­mi rę­ka­mi cho­wa­my ego­cen­trycz­ne po­two­ry; leni przy­zwy­cza­jo­nych do ma­mi­nej ob­słu­gi, zwa­la­ją­cych się na sofę przed me­czem w ocze­ki­wa­niu na ser­wis. Jak ma­wia Clau­di­ne: każ­da chce mieć księ­cia, a po­tem się dzi­wi, że on po­trze­bu­je słu­żą­cej!

Clau­di­ne na­ma­wia mnie, abym zna­la­zła so­bie fa­ce­ta w in­ter­ne­cie. Chy­ba ją po­wa­li­ło na mózg już kom­plet­nie! Po­dob­no są ta­kie stro­ny peł­ne wol­nych fa­ce­tów. Przy­naj­mniej tak de­kla­ru­ją.

— Sło­necz­ko, ja już tego nie po­trze­bu­ję — rzu­ci­łam jej któ­rymś ra­zem na od­czep­ne­go.

— Nie po­trze­bu­jesz chło­pa? — spy­ta­ła z nie­do­wie­rza­niem i szczyp­tą sar­ka­zmu. — Je­steś ten te­ges czy do­le­ga ci coś, o czym nie wiem? — Uśmiech­nę­ła się przy tym, szel­ma jed­na.

— Masz ra­cję, za­pi­sa­łam się do lesb — od­par­łam, tak­że z ba­na­nem na buź­ce.

— Aaa, to ja już mu­szę le­cieć. Za­po­mnia­łam wy­łą­czyć że­laz­ka w lo­dów­ce.

— W lo­dów­ce? Hmmm, cie­ka­we miej­sce na małe AGD. — Ob­śmia­ły­śmy się z tego jak nor­ki. — Nie­ee, tak po­waż­nie to nie szu­kam już pro­ble­mów — od­po­wie­dzia­łam, da­lej się uśmie­cha­jąc, bo ta mał­pa za­wsze mnie umie roz­ba­wić, na­wet w trud­niej­szych sy­tu­acjach.

— O rany, dej­że spo­kój! — za­cią­gnę­ła na­szym slan­giem. — Wy­lu­zuj i chwil­kę po­myśl. Jaki fa­cet by cię krę­cił? — Spoj­rza­ła w górę i sama po­szu­ka­ła wzro­kiem w swo­im przed­nim pła­cie czo­ło­wym wła­sne­go wy­obra­że­nia.

— Cie­bie to na pew­no goły! — rzu­ci­łam i ro­ze­śmia­ły­śmy się obie, po­now­nie w głos.

Uwiel­biam ją. Nie wiem, czy chcia­ła za­siać we mnie myśl o no­wym związ­ku, czy choć­by samo pra­gnie­nie, ale jej się nie uda­ło. Nie ma ta­kiej opcji. Po moim sza­now­nym tru­pie. W ży­ciu!

Któ­re­goś dnia Clau­di­ne zro­bi­ła mi na spa­ce­rze fot­kę. Utrzy­my­wa­ła, że tego dnia było wy­jąt­ko­we świa­tło i że ko­rzyst­nie wy­glą­dam, a po­tem, że to na pa­miąt­kę. Czu­łam, że coś krę­ci — jak wi­dać, mam do tego dar. W każ­dym ra­zie skrzy­wi­łam się, bo nie lu­bię być fo­to­gra­fo­wa­na, a już szcze­gól­nie znie­nac­ka. Poza tym nie wie­dzia­łam, po jaką to robi cho­le­rę. Wkrót­ce się wy­ja­śni­ło, gdy przy­szedł mail po­wi­tal­ny z pew­ne­go por­ta­lu. Na po­cząt­ku są­dzi­łam, że to re­kla­ma, a po­tem zro­zu­mia­łam, że to za­pro­sze­nie do kon­tak­tu, prze­sła­ne przez czter­dzie­sto­pię­cio­let­nie­go Mi­cha­ela z Awi­nion. „Co jest, u dia­bła?” — po­my­śla­łam spło­szo­na. „Skąd ten fa­cet zna mój ad­res?”. I wte­dy mnie olśni­ło! Te uśmiesz­ki Clau­di­ne, te jej nie­do­po­wie­dze­nia. Udu­szę ją go­ły­mi rę­ka­mi lub po­kro­ję w pla­ster­ki, po­sy­pu­jąc rany solą! Albo nie, mam coś znacz­nie gor­sze­go! Nie dam się jej wy­si­kać, gdy do mnie przyj­dzie ko­lej­nym ra­zem. Po­wiem, że ki­bel jest za­tka­ny, ha­ha­ha. Po­pu­ści w su­kie­nu­nię na bank, bo si­ka­nie to pierw­sza czyn­ność, jaką u mnie wy­ko­nu­je, za­miast się przy­wi­tać jak czło­wiek. Twier­dzi, że ma tak za­wsze, gdy wje­dzie win­dą albo wej­dzie po scho­dach na wyż­sze pię­tro; że niby tu­taj gra­wi­ta­cja jest sil­niej­sza. Nie­do­cze­ka­nie! Po­ło­żę fo­lię na ka­na­pę.

Dwa ty­go­dnie póź­niej otrzy­ma­łam wia­do­mość od nie­ja­kie­go Je­ana-Mar­ca. Na zdję­ciach był cał­kiem przy­stoj­ny. Okej, no do­bra: bar­dzo mi się spodo­bał. Wy­so­ki, pra­wi­dło­wo zbu­do­wa­ny, lek­ko szpa­ko­wa­ty, z dżin­so­wy­mi ocza­mi. Nie ma co ukry­wać — cho­ler­ne cia­stecz­ko, któ­re może się sa­mot­nej ko­bie­ci­nie — ta­kiej jak ja — nie daj Boże przy­śnić.

*Wi­taj, nie­zna­jo­ma! Mam na imię Marc, a do­kład­niej Jean-Marc. Po­cho­dzę z Bor­de­aux, choć obec­nie miesz­kam za gra­ni­cą. Han­dlu­ję wi­na­mi w róż­nych kra­jach. Szcze­gól­nie in­te­re­su­ją mnie mar­chés émer­gents*[1]*. Bar­dzo lu­bię swo­je za­ję­cie. Jest moją pa­sją. Prze­pra­szam, ale mogę o tym ga­dać bez koń­ca.*

*Je­dy­ne, co mogę na tym eta­pie po­wie­dzieć na Twój te­mat, to że za­mie­ści­łaś świet­ne zdję­cie*☺*! Je­steś praw­dzi­wie Bo­skim dzie­łem, ma­de­mo­isel­le! Do­wo­dem na to, że Ge­nial­ny Stwo­rzy­ciel ist­nie­je i jest Ar­ty­stą. Nie, nie je­stem re­li­gij­ny, ale zgo­dzisz się ze mną, że w dzie­dzi­nie wia­ry i prze­strze­ga­nia pew­nych za­sad mo­ral­nych, a tak­że war­to­ści uni­wer­sal­nych to nie de­kla­ra­cje po­win­ny być istot­ne ani czy­jeś in­ten­cje. Dla mnie to, ja­kim fak­tycz­nie je­steś czło­wie­kiem na co dzień, jest na­praw­dę bar­dzo waż­ne, a nie same po­zo­ry. Wy­bacz, na pew­no zbyt­nio fi­lo­zo­fu­ję jak na tak krót­ką pre­zen­ta­cję*☺*, jed­nak uwa­żam, że na por­ta­lu Szan­sa dla Dwoj­ga nie cho­dzi o to, żeby się po­ka­zać, tyl­ko żeby dać się po­znać in­nym ze swo­jej praw­dzi­wej stro­ny. Dla­te­go pi­szę o tym na wstę­pie. Nie­ste­ty, iden­tycz­nie jak w przy­pad­ku pra­cy, któ­ra jest moją pa­sją, o nie­któ­rych in­nych waż­nych kwe­stiach, jak Bóg czy mo­ral­ność, mogę dys­ku­to­wać bez koń­ca. To jed­na z mo­ich wad*☺*. Za­py­tasz, cze­mu eks­po­nu­ję tu­taj swo­je sła­bo­ści? Bo mó­wię o tym, co do­bre, ale i co wąt­pli­we, że­byś po­zna­ła mnie ta­kim, jaki na­praw­dę je­stem.*

*A te­raz wra­cam do Cie­bie: jak pi­sa­łem, bar­dzo spodo­ba­ło mi się Two­je zdję­cie. Wy­obra­żam so­bie, że je­steś taką ra­do­sną i jed­no­cze­śnie sen­ty­men­tal­ną blon­dyn­ką, ja­kiej szu­kam. Ro­man­tycz­ką, jak do­mnie­my­wam. Wi­dać, że skry­wasz w so­bie wie­le po­kła­dów cie­pła. Mu­sisz być do­brym czło­wie­kiem. Skąd wiem? Bo do­brze Ci z oczu pa­trzy, drob­na isto­to*☺*. Pour fa­ire co­urt*[2]*: po­do­ba mi się Twój pro­fil, dla­te­go chciał­bym Cię po­znać. Na moim od­naj­dziesz ak­tu­al­ne zdję­cia. Daj znać, je­śli tak­że je­steś za­in­te­re­so­wa­na.*

*J.-M.*

„Wy­da­je się faj­ny — przy­zna­łam w du­chu. — Hmm. Z jed­nej stro­ny wraż­li­wy, z dy­stan­sem do sie­bie, in­te­li­gent­ny. Ni to pew­ny sie­bie, ni to wy­co­fa­ny. Cie­ka­wy, to praw­da, i przy­stoj­ny. Z dru­giej, kur­czę, sam so­bie za­da­je py­ta­nia i na nie od­po­wia­da? I jesz­cze mi opo­wia­da, co ja niby w da­nym mo­men­cie są­dzę o jego rze­ko­mych wa­dach? Do tego za­kli­na rze­czy­wi­stość: »prze­strze­gam za­sad«, albo pod­kre­śla, że po­ka­zu­ję praw­dę. A w ogó­le to jest z No­wej Akwi­ta­nii? I nie prze­by­wa obec­nie w kra­ju? Chy­ba nie. Nie. Zde­cy­do­wa­nie nie!”.

Szko­da, że mój sta­ry nie umiał tak ga­dać*.*

Dwa dni póź­niej da­łam się na­mó­wić Je­ano­wi-Mar­co­wi na wy­mia­nę kil­ku zdaw­ko­wych zdań przez ko­mu­ni­ka­tor. Był cie­kaw, gdzie pra­cu­ję, ja­kie mam za­in­te­re­so­wa­nia i ta­kie tam dyr­dy­ma­ły — jak to zwy­kle przy po­zna­wa­niu. Po­tem spy­tał, ja­kie mam do­świad­cze­nia na tym por­ta­lu. Zgod­nie z praw­dą stwier­dzi­łam, że żad­nych…

*Nie ma już faj­nych fa­ce­tów* — na­pi­sa­łam za­czep­nie.

*E tam! Pa­trzy­łaś uważ­nie?*☺

Ob­śmia­łam się z tego tek­stu, bo był na­praw­dę śmiesz­ny. Lu­bię dow­cip­nych męż­czyzn.

*Pi­szą same głu­po­ty* — kon­ty­nu­owa­łam, jesz­cze się śmie­jąc — *albo skła­da­ją nie­przy­zwo­ite pro­po­zy­cje, są­dząc, że in­ter­net jest bez­oso­bo­wy.*

*Spójrz na to w ten spo­sób* — od­pi­sał Jean-Marc. — *Je­śli fa­cet nie ma spraw­ne­go pió­ra, to nie wie, co na­pi­sać. W do­dat­ku ko­re­spon­du­je z kimś, kogo na­wet na oczy nie wi­dział! A my nie mamy prze­sad­nej wy­obraź­ni, poza jed­ną dzie­dzi­ną, he­he­he. A i to nie wszy­scy.*

*To praw­da* — zgo­dzi­łam się skwa­pli­wie.

*Po dru­giej stro­nie może być do­słow­nie każ­dy czło­wiek, z róż­nym do­świad­cze­niem, cha­rak­te­rem, w nie­prze­wi­dy­wal­nym na­stro­ju. Ła­two ko­goś ta­kie­go znu­dzić albo do sie­bie znie­chę­cić. Nikt nie chce się ośmie­szyć, szcze­gól­nie męż­czyź­ni.*

*Su­ge­ru­jesz, że nie­któ­rzy są tu­taj tak dłu­go, bo nie umie­ją cie­ka­wie za­ga­ić?*

*To tak­że, ale przede wszyst­kim szu­ka­ją nie­wła­ści­wych osób.*

„A to cie­ka­we” — uzna­łam. Po­sta­wi­łam więc sam py­taj­nik i do nie­go wy­sła­łam.

*Chcą ko­goś, kto nie od­po­wia­da ich wa­lo­rom, lecz aspi­ra­cjom —* wy­ja­śnił. *— Za­sa­da jest pro­sta: chcesz być z pięk­nym part­ne­rem, to sama mu­sisz być pięk­na. Chcesz być z mą­drym, sama też taka mu­sisz być. Ina­czej two­je ma­rze­nia są nie­re­al­ne, a w każ­dym ra­zie sta­ty­stycz­nie w 99,9% na­ra­żo­ne na po­raż­kę. To jest bez­względ­ny pro­ces, jak sprze­daż, ry­nek, po­pyt i po­daż.*

W tym mo­men­cie stwier­dzi­łam, że zbyt się wy­mą­drza, mimo to kon­ty­nu­owa­łam dia­log z cie­ka­wo­ści, co ma jesz­cze do po­wie­dze­nia. Dla­te­go wy­sła­łam ko­lej­ne py­ta­nie:

*Dla­cze­go tak ro­bi­my? Je­ste­śmy kre­ty­na­mi, któ­rzy tego me­cha­ni­zmu nie ro­zu­mie­ją, choć go sto­su­ją, czy nie chce­my szu­kać bli­skiej oso­by w gru­pie po­dob­nych do nas osób?*

*Każ­dy ma wy­so­kie mnie­ma­nie o so­bie, chy­ba się zgo­dzisz* — od­pi­sał od razu, jak­by miał ten tekst na po­do­rę­dziu. — *Naj­czę­ściej wyż­sze, niż wy­ni­ka to z oce­ny in­nych. No i pró­bu­je­my ugrać coś dla sie­bie. Sta­ry fa­cet pra­gnie mieć pięk­ną mło­dą żonę, a doj­rza­ła ko­bie­ta młod­sze­go ko­chan­ka. Wie­rzą, że im się po­wie­dzie.*

*Szcze­gól­nie gdy ni­ski fa­cet sta­nie na gru­bym port­fe­lu, żeby osią­gnąć wła­ści­wy wzrost, ha­ha­ha.*

*Taka praw­da. Przy­znasz, że wie­lu go­ściom peł­ny port­fel przy­da­je do­dat­ko­wych „wa­lo­rów”. Przy­naj­mniej zda­niem nie­któ­rych ko­biet*☺*.*

*Zgo­da…* — Tym ra­zem to ja szyb­ko od­pi­sa­łam i za­nim zdą­żył za­re­ago­wać, do­da­łam: *— A za­tem mu­szą być też i tacy, któ­rzy nie ma­jąc ma­te­rial­nych ar­gu­men­tów albo osza­ła­mia­ją­cej uro­dy, cza­ru­ją in­te­lek­tem.*

*Na pew­no… —* mię­dzy tymi dwo­ma sło­wa­mi, mimo że były na­pi­sa­ne, wy­czu­łam prze­czą­ce ich tre­ści za­wa­ha­nie, jak­by Jean-Marc nie wie­dział, w ja­kim kie­run­ku po­dą­ża­ją moje my­śli.

*Cze­go w ta­kim ra­zie To­bie bra­ku­je, Jean-Marc?*

*Mnie? Dru­giej po­ło­wy*☺.

*Ale ja py­tam o Two­je de­fi­cy­ty, sko­ro je­steś taki elo­kwent­ny.*

*Bez prze­sa­dy z tą elo­kwen­cją! —* na­skro­bał bez za­sta­no­wie­nia, ale chy­ba wy­czuł, że wpa­da w za­sadz­kę.

*Aby nie tkwić na por­ta­lu rand­ko­wym bez koń­ca, wnio­sku­ję więc, że sko­ro roz­sąd­ną stra­te­gią jest re­al­ne spoj­rze­nie na sie­bie i do­sto­so­wa­nie swo­ich ocze­ki­wań do tego, co sami sobą re­pre­zen­tu­je­my, to… Ty, ko­le­go Jean-Marc, je­steś dla mnie zbyt przy­stoj­ny, mą­dry i in­te­li­gent­ny.* — Po­je­cha­łam bez trzy­man­ki. *— Dla­te­go z ża­lem mó­wię Ci „że­gnaj”, na­wet nie „do wi­dze­nia”! Adieu, mon nie­do­szła amo­ur!* — Za­żar­to­wa­łam roz­ba­wio­na z na­dzie­ją, że to od­bie­rze wła­ści­wie.

*No to pa!* — przy­szło nie­mal­że na­tych­miast, a po­tem na­stą­pi­ła głu­cha ci­sza w ete­rze.

Pau­za się prze­dłu­ża­ła. „Kur­czę. No, chy­ba ska­po­wał, że to żar­cik. Za­le­d­wie za­czep­ka. Prze­cież nie jest aż taki głu­pi, żeby uwie­rzyć w moje sło­wa?”. W su­mie wy­dał mi się te­raz cie­ka­wy, a na­wet obie­cu­ją­cy. Za­le­ża­ło mi na wy­mia­nie po­glą­dów z nie­głu­pim fa­ce­tem, kim­kol­wiek by był. „Cho­le­ra, czło­wie­ku, ode­zwij się!” — po­na­gli­łam go w my­ślach ner­wo­wo. Chwi­lę po­tem w pa­ni­ce ob­my­śla­łam plan ewa­ku­acji z tej nie­zręcz­nej sy­tu­acji.

*Żar­to­wa­łem!* — na­pi­sał w koń­cu po kil­ku mi­nu­tach. — *Mam na­dzie­ję, że trosz­kę się nie­po­ko­iłaś!*

*Świn­ka! A wła­ści­wie pro­się nie­so­lo­ne!*

*A ja Jean-Marc. Bar­dzo mi miło*☺*. PS nie­so­lo­ne?*

Tak mi się po­wie­dzia­ło.

Kil­ka dni póź­niej, po ko­lej­nej krót­kiej ko­re­spon­den­cji na róż­ne neu­tral­ne te­ma­ty, a tak­że o czymś znacz­nie waż­niej­szym, bo o jego pra­cy w Pol­sce, gdzie wów­czas służ­bo­wo prze­by­wał, po­pro­sił, że­bym mu prze­sła­ła nowe zdję­cia, bo mu mnie „mało”, jak okre­ślił. Mimo fi­zycz­ne­go dy­stan­su oko­ło dwóch ty­się­cy ki­lo­me­trów, któ­ry go w mo­ich oczach do­tąd dys­kwa­li­fi­ko­wał — no bo w jaki spo­sób bu­do­wać re­la­cję na od­le­głość? — dłu­go się nie opie­ra­łam. Wie­czo­rem zro­bi­ły­śmy z Clau­di­ne po­nęt­ną se­sję fo­to­gra­ficz­ną — tym ra­zem bar­dziej prze­my­śla­ną. Od­pi­sał, że mam pięk­ne zęby.

— Boże, to oczy­wi­ste! — fuk­nę­łam do Clau­di­ne zi­ry­to­wa­na. — W koń­cu mój den­ty­sta pra­co­wał nad nimi pół roku i kosz­to­wa­ły for­tu­nę! Mu­szę prze­cież do­brze wy­glą­dać.

W ko­lej­nej se­rii wia­do­mo­ści J.-M. przy­znał, że moje: *zmy­sło­we, wręcz ete­rycz­ne zdję­cia wię­cej obie­cu­ją, niż po­ka­zu­ją.* Na­resz­cie! Bra­wo ty! O to wła­śnie cho­dzi­ło. To ro­man­tycz­ne, że to za­uwa­żył i tak ład­nie sko­men­to­wał. Jak w *Mi­ło­ści na żą­da­nie* — oglą­da­łam ten film z pięć razy.

Clau­di­ne mówi, że choć przy­stoj­ny i „zda­je się” miły, to ma do nie­go dy­stans. Okej, jej spra­wa.

Na ko­niec wy­mia­ny zdań za­py­ta­łam go, cze­go ode mnie ocze­ku­je. Od­pi­sał, że ni­cze­go poza uczci­wo­ścią. Ład­ne. W su­mie ze mną jest tak samo.

Pod ko­niec ko­lej­ne­go ty­go­dnia po wy­mia­nie opi­nii do­ty­czą­cych po­go­dy pa­nu­ją­cej w Pol­sce (Jean-Marc prze­by­wał w oko­li­cach Wro­cła­wia, gdyż tam upra­wia­ne są wi­no­ro­śle), ku­li­nar­nych upodo­bań, jak i spraw co­dzien­nych spy­ta­łam o jego prze­szłość. Od­pi­sał mi nad­spo­dzie­wa­nie wy­czer­pu­ją­co o uro­czym po­cząt­ku zna­jo­mo­ści by­łej żony i tra­gicz­nym koń­cu ich mi­ło­ści. Wspo­mniał, że czło­wiek na­praw­dę po­zna­je sie­bie i in­nych — tak­że naj­bliż­szych, do­pie­ro w skraj­nych sy­tu­acjach. Tak­że o tym, jak bar­dzo był za­sko­czo­ny, że zdra­da mał­żon­ki ani wy­czysz­cze­nie ich wspól­nych kont nie zro­bi­ły na nim ta­kie­go wra­że­nia jak to, że po tylu la­tach nie dała im dwoj­gu żad­nej szan­sy na na­pra­wę związ­ku. Na­pi­sał o za­ła­ma­niu psy­chicz­nym po jej na­głym odej­ściu przed trze­ma laty i o my­ślach sa­mo­bój­czych, któ­re wte­dy nie opusz­cza­ły. Stwier­dził, że do­pie­ro od nie­daw­na jest go­to­wy na nowe uczu­cie. Było to po­wie­dzia­ne wprost. Na po­cząt­ku żach­nę­łam się na taką szcze­rość i de­kla­ra­cje, ale po­tem uzna­łam, że musi być po pro­stu otwar­ty i od­waż­ny. Nie wsty­dzi się swo­ich uczuć i umie na­zy­wać rze­czy po imie­niu. Eks­tra­wer­tyk. Za­py­ta­łam więc, kogo tu­taj szu­ka tak na­praw­dę, zga­du­jąc, że sko­ro jest taką mą­dra­lą, to i wy­ma­ga­nia musi mieć wy­so­kie.

*Przy­znam, że znów ma­rzę o mi­ło­ści, bli­sko­ści dru­giej oso­by, ale oczy­wi­ście wiem, że od­na­le­zie­nie tej jed­nej, je­dy­nej bę­dzie bar­dzo trud­ne. O ile moż­li­we… Jed­nak szczę­ściu trze­ba dać szan­sę, więc to ni­niej­szym czy­nię*☺*.*

*Ro­zu­miem to* — od­po­wie­dzia­łam po­ru­szo­na, jak bar­dzo nam po dro­dze w ta­kim my­śle­niu. — *Ro­bię to samo co Ty, choć nie z wła­snej woli*☺*. Wro­bi­ła mnie przy­ja­ciół­ka*☺*.*

*Wszyst­kie tak mó­wią, he­he­he* — od­pi­sał, uda­jąc zło­śli­wość, pew­nie po to, że­by­śmy nie po­pa­dli w pa­tos. Tak czy ina­czej jest in­te­li­gent­nym roz­mów­cą.

*O, wi­dzę, że ko­le­ga ma tyle por­ta­lo­wych do­świad­czeń, że umie już je ująć sta­ty­stycz­nie* — rzu­ci­łam rów­nie żar­to­bli­wie ką­śli­wy tekst, a na­stęp­nie do­da­łam: *— Na do­brą spra­wę to do­bie­ra­nie się nie jest ta­kie skom­pli­ko­wa­ne, jak twier­dzisz. Jest tu wie­le osób o roz­ma­itych ce­chach i wa­lo­rach, ale wszyst­kie mają ten sam cel, czy­li mi­łość* — do­da­łam.

*Po pierw­sze* — od­pi­sał po pau­zie pan mą­dra­liń­ski — *nie wszy­scy szu­ka­ją tego sa­me­go, moja dro­ga. Jed­ni pra­gną uczu­cia, inni za­ba­wy, ko­lej­ni do­war­to­ścio­wa­nia uwiel­bie­niem po­chleb­ców. We­dług mnie od­na­le­zie­nie tu wła­ści­wej oso­by jest jak rzu­ca­nie kost­ką albo jak wy­cią­ga­nie losu na lo­te­rii. Z tym że tu­taj igra­my wła­snym lo­sem.*

*Czy ja wiem? Czy to nie na­zbyt dra­ma­tycz­ny ton? —* spy­ta­łam, są­dząc, że prze­sa­dza*.*

*Nie są­dzisz, że oso­ba, któ­rą wy­bie­rze­my i za­pro­si­my do wspól­ne­go ży­cia, dia­me­tral­nie je od­mie­ni? Wpły­nie na jego dal­szy prze­bieg?*

No tak. Od razu sta­nę­ła mi przed ocza­mi ciot­ka. Moja świę­tej pa­mię­ci mama mó­wi­ła, że jej sio­stra jesz­cze na stu­diach była cu­dow­ną i mą­drą bab­ką, aż do mo­men­tu wyj­ścia za mąż. Po­tem zdur­nia­ła i już ni­g­dy nie była sobą. Sta­ła się za­ścian­ko­wą kwo­ką z ogra­ni­czo­ny­mi ho­ry­zon­ta­mi o men­tal­no­ści pier­wot­nia­ka — jak, nie przy­mie­rza­jąc, jej mę­żu­lek. „Tak, Jean-Marc ma ra­cję. Dru­ga oso­ba ma na nas cho­ler­ny wpływ” — przy­zna­łam po krót­kiej ana­li­zie tam­te­go przy­pad­ku.

*Poza tym, czy­li po dru­gie* — pi­sał da­lej Jean-Marc, nie do­cze­kaw­szy się mo­jej re­ak­cji — *na­wet je­śli na pierw­szy rzut oka faj­nych i atrak­cyj­nych lu­dzi jest na por­ta­lu mro­wie, to ta wy­bra­na oso­ba musi speł­niać tyle punk­tów z na­szej ro­sną­cej li­sty ocze­ki­wań, że robi się to na­praw­dę trud­ne.*

„Po co tyle pe­sy­mi­zmu?” — za­uwa­ży­łam w my­ślach, więc na­pi­sa­łam z prze­ką­sem:

*Ale zda­rza się to, nie­praw­daż? Ina­czej by­śmy się tu­taj nie spo­tka­li?*

*Jak stwier­dził Tom Clan­cy w* Sta­nie za­gro­że­nia*: ży­cie mnie już na­uczy­ło, że nie ma w przy­ro­dzie cze­goś ta­kie­go jak uśmiech losu* — od­pi­sał bez sen­su.

*Je­śli tak, to co tu­taj ro­bisz, pa­nie Jean-Marc?*— spy­ta­łam ję­dzo­wa­to.

*A sły­sza­łaś o eks­pe­ry­men­cie ze szczu­ra­mi?*

Za­sko­czył mnie tym py­ta­niem, więc na­pi­sa­łam:

*Nie ko­ja­rzę.*

*Otóż gdy szczur wpad­nie do wody bez moż­li­wo­ści uciecz­ki, to uto­nie po mniej wię­cej pół go­dzi­ny. Je­śli coś ura­tu­je go w ostat­niej chwi­li, na za­sa­dzie cu­dow­ne­go zrzą­dze­nia losu, to ko­lej­nym ra­zem zwie­rzę prze­trwa w ki­pie­li na­wet kil­ka­dzie­siąt go­dzin. Oto naj­moc­niej­sza de­fi­ni­cja na­dziei, jaką sły­sza­łem.*

*Ze mną jest w ta­kim ra­zie iden­tycz­nie jak ze szczu­ra­mi, tyle że je­stem do­pie­ro po pierw­szej fa­zie eks­pe­ry­men­tu i wła­śnie nie żyję*☺ — od­wa­ży­łam się na szcze­rość ubra­ną w żart.

*Nie za­uwa­ży­łem, że­byś była mar­twa*☺ — od­pi­sał z uśmie­chem.

„A jed­nak nie jest taki głu­pi” — przy­zna­łam w du­chu. „Im­po­nu­je mi. Nie za­da­wa­łam się do­tąd z ta­ki­mi męż­czy­zna­mi”. By­łam pod­eks­cy­to­wa­na, ale od razu przy­szła ży­cio­wa re­flek­sja: „Ale po cho­le­rę mi taki ktoś? Miesz­ka nie wia­do­mo gdzie. A jak wró­ci, to tak­że nie tu­taj, gdzie ja żyję, tyl­ko gdzieś tam. To nie ma przy­szło­ści i sen­su…” — skwi­to­wa­łam w my­ślach.

Chwi­lę po­tem przy­szedł mi do gło­wy pe­wien po­mysł, więc spraw­dzi­łam coś w ne­cie i na­pi­sa­łam:

*Je­śli in­ter­ne­to­wa me­to­da na po­zna­nie ko­goś sen­sow­ne­go ma tyle po­do­bieństw do gry na lo­te­rii, to szan­se są, jak dla mnie, zbyt zni­ko­me. Z tego, co prze­czy­ta­łam przed chwi­lą o ostat­nim lo­so­wa­niu, wi­dzę, że praw­do­po­do­bień­stwo wy­gra­nia na lo­te­rii jest jak je­den do trzy­na­stu mi­lio­nów dzie­wię­ciu­set osiem­dzie­siąt trzech ty­się­cy osiem­set szes­na­stu. W tej sy­tu­acji ja po­dzię­ku­ję, Jean-Marc.*

*Co­let­te! Ty mnie rzu­casz już po raz dru­gi w cią­gu paru dni, he­he­he. Choć nie­ste­ty masz ra­cję…* — od­pi­sał uba­wio­ny. — *Fak­tycz­nie, szan­se są mar­ne.* — Po chwi­li do­dał uśmie­szek. — *Ale to wca­le nas oboj­ga nie dys­kwa­li­fi­ku­je. Po­zo­sta­ją na­dal nie­ra­cjo­nal­na che­mia i nie­wi­dzial­na siła przy­cią­ga­nia, nie­praw­daż?*

Ża­ło­wa­łam, że nie mogę się z nim spo­tkać, ot tak, i po­ga­dać przy kie­lisz­ku wina; do­wie­dzieć się, jaki jest na­praw­dę, spoj­rzeć mu zwy­czaj­nie w oczy. Nie wiem, czy by­ło­by mię­dzy nami tak samo jak w ne­cie, ale zwy­czaj­nie je­stem go cie­ka­wa. Tyl­ko tyle. Przy­się­gam na swo­je byłe dzie­wic­two!

Z mo­je­go pa­mięt­ni­ka: Dzi­siaj J.-M. na­pi­sał coś bar­dzo śmiesz­ne­go. Każ­de­go dnia pi­sze śmiesz­ne rze­czy, i to naj­czę­ściej z ży­cia wła­snej ro­dzi­ny. A to jak jego sio­stra (ma dwie star­sze sio­stry) wy­da­ła mu się dziw­nie po­si­nia­czo­na na czo­le, ra­mio­nach i szyi, więc spy­tał ją za­nie­po­ko­jo­ny, czy mógł­by w czymś jej po­móc. Bał się, że nie ukła­da się jej z mę­żem i że może tam­ten pod­niósł na nią rękę. Ona po­dob­nież od­po­wie­dzia­ła z uda­wa­nym roz­ża­le­niem, na któ­re w pierw­szej chwi­li dał się na­brać: „Ech! Gdy­by to była jesz­cze prze­moc do­mo­wa, to dzia­ło­by się cho­ciaż coś eks­cy­tu­ją­ce­go w moim mał­żeń­stwie, a ja zwy­czaj­nie prze­je­cha­łam się na psim gów­nie, któ­re­go nie za­uwa­ży­łam, idąc z ko­szem pra­nia. Wal­nę­łam się ko­la­nem w czo­ło, wy­obraź so­bie! Pra­nie zaś gra­wi­ta­cja przy­cią­gnę­ła na koń­cu — tak więc gdy Jean-Clau­de, wy­stra­szo­ny moim krzy­kiem, wpadł na ta­ras, roz­ma­za­ne gów­no i ja le­że­li­śmy obok sie­bie, przy­kry­te jego śnież­no­bia­łą ko­szu­lą”. Ha­ha­ha. Albo jak jej mąż wy­ka­zał się kie­dyś w kuch­ni, przy­rzą­dza­jąc coś pysz­ne­go, a ona wy­pa­li­ła o tym przy ca­łej ro­dzi­nie, kwi­tu­jąc, że gdy bę­dzie pil­nie ćwi­czył pod jej okiem, to wkrót­ce zo­sta­nie mi­strzem pa­tel­ni. Wszy­scy przy sto­le gruch­nę­li śmie­chem — poza ich mat­ką oczy­wi­ście, któ­ra się po­tem do­py­ty­wa­ła, z cze­go się tak chi­chra­li. I ta­kich dyk­te­ry­jek ma całe mnó­stwo. Zwy­kle bawi mnie to do łez.

Od po­cząt­ku za­uwa­ży­łam, że Jean–Marc jest śmiesz­ny. I faj­ny. Zde­cy­do­wa­nie za­baw­ny. Do­szłam do wnio­sku, że mam gdzieś to, gdzie miesz­ka, je­śli tyl­ko bę­dzie ze mną na­dal ko­re­spon­do­wał.

W cią­gu mie­sią­ca, od­kąd się po­zna­li­śmy, prze­ko­na­łam się, że J.-M. jest wy­jąt­ko­wy. Cie­ka­wie opo­wia­da o pra­cy. Z pa­sją. Dużo do­wie­dzia­łam się o wi­nach i o wschod­niej Eu­ro­pie, któ­ra była do­tąd dla mnie pu­stą prze­strze­nią na ma­pie, po któ­rej za­su­wa­ją bia­łe niedź­wie­dzie. Prze­ko­na­łam się, że lu­bię męż­czyzn ak­tyw­nych, ma­ją­cych za­in­te­re­so­wa­nia, cie­ka­wych świa­ta. Tak od­mien­nych od mo­je­go by­łe­go, pier­dzą­ce­go w sofę te­le­ma­nia­ka. Mam wra­że­nie, że Clau­di­ne mi J.-M. cza­sem za­zdro­ści, szcze­gól­nie gdy z wy­pie­ka­mi opo­wia­dam jej, cze­go się wła­śnie od nie­go do­wie­dzia­łam.

— Wiesz, że w Pol­sce tak­że pro­du­ku­ją wino? I cydr!

— Okej, no i co z tego?

— I nic. Nie in­te­re­su­ją cię inne kra­je?

— A cie­bie od kie­dy tak pa­sjo­nu­je stre­fa so­wiec­ka?

— To już hi­sto­ria, Clau­di­ne. Jean-Marc mówi, że ka­pi­ta­lizm tam się roz­wi­ja bły­ska­wicz­nie i by­ła­bym za­dzi­wio­na ich po­zio­mem ży­cia. Po­dob­no jest tam co­raz le­piej. My­ślę, że i ty by­ła­byś nie­źle za­sko­czo­na.

— Na pew­no. I co jesz­cze po­wie­dział pan mą­dra­la? Że cię do tego raju na zie­mi po­rwie?

— Skąd ci to przy­szło do gło­wy? Ni­g­dzie się nie wy­bie­ram. Chy­ba że na wy­ciecz­kę.

— Sko­ro tam jest tak faj­nie, to może to prze­myśl? Mają wino, on jest cu­dow­ny i żyje się tam jak w baj­ce…

— O co ci, do cho­le­ry, cho­dzi? Za­zdro­ścisz mi? Ty, moja naj­bliż­sza przy­ja­ciół­ka?

— Nie bądź nie­mą­dra. Usi­łu­ję tyl­ko zmniej­szyć twój pło­mień, bo się zja­rasz, za­nim go po­znasz. Prze­cież nie wiesz, kim on jest! Tak na­praw­dę go nie znasz. To może być oszust ma­try­mo­nial­ny albo zbo­cze­niec.

— Ja­sne! Fan­to­mas we wła­snej oso­bie!

Clau­di­ne na­praw­dę cza­sem za­cho­wu­je się jak idiot­ka!

Któ­rymś ra­zem Jean-Marc prze­słał in­try­gu­ją­ce py­ta­nie, jed­no z tych, któ­re wy­wo­łu­ją we mnie ka­ska­dę my­śli.

*A cze­go Ty ocze­ku­jesz od fa­ce­ta? Na czym Ci naj­bar­dziej za­le­ży, dro­ga Co­let­te?*

*Tak szcze­rze, to naj­waż­niej­sze, abym czu­ła się przy nim bez­piecz­nie.*

*Tyl­ko tyle?*☺

*„Aż tyle”, miły ko­le­go*☺*. Pi­sa­łeś nie­daw­no o nad­mier­nych ocze­ki­wa­niach nie­któ­rych lu­dzi, zda­je się, a te­raz żą­dasz wię­cej*☺*.*

*Co jesz­cze?*

*Mę­czysz*☺*. Po pro­stu bez­piecz­nie, i tyle! To okre­śle­nie mie­ści zresz­tą w so­bie wie­le sen­sów: pew­ność uczuć dru­giej oso­by, we­wnętrz­ny spo­kój, za­ufa­nie i lo­jal­ność. No, wiesz…*

*Pisz da­lej!*

*Chcia­ła­bym przy nim stać się naj­lep­szą wer­sją sie­bie — je­śli ro­zu­miesz, co mam na my­śli. Taką, jaką czu­ję się we­wnątrz i jaką za­wsze chcia­łam być wo­bec in­nych.*

*Am­bit­nie. Go­to­wa je­steś się zmie­nić?*

Do­tknął czu­łe­go punk­tu, więc się roz­pi­sa­łam.

*I tak, i nie. My­ślę, że do­ro­sły czło­wiek jest już ukształ­to­wa­ny i nie może się zmie­nić, co naj­wy­żej odro­bi­nę do­sto­so­wać do ko­goś in­ne­go, a może i z cza­sem upodob­nić. Ja po­lu­bię ja­sne piwo, a on wi­zy­ty mo­jej przy­ja­ciół­ki. Ale też wiem, że im więk­szy bę­dzie to kom­pro­mis, im da­lej odej­dziesz od praw­dzi­wej sie­bie, tym ła­twiej o pęk­nię­cia w re­la­cji na dłuż­szą metę. Mi­nie za­uro­cze­nie i już nie będę taka chęt­na na mecz fut­bo­lo­wy, a on na kon­cert An­dré Rieu czy ko­lej­ny me­lo­dra­mat ko­stiu­mo­wy w ki­nie. Dla­te­go od­pi­sa­łam Ci o lep­szej wer­sji sie­bie, bar­dziej to­le­ran­cyj­nej, cie­płej, wy­ro­zu­mia­łej i po­god­nej, niż zda­rza się mi być, a nie o uda­wa­niu ko­goś, kim nie je­stem. Tak na­praw­dę naj­głę­biej w ser­cu ma­rzę, żeby part­ner ak­cep­to­wał mnie, jaką je­stem, abym nie mu­sia­ła przy­bie­rać przed nim ma­sek. Za to ja uczy­nię wszyst­ko, co w mo­jej mocy, żeby to od­wza­jem­nić. To, że chcia­ła­bym być lep­sza, niż je­stem dzi­siaj, to ma być mój wy­bór, a nie jego ży­cze­nie.*

*Dla­cze­go miał­by Cię zmie­niać? Je­steś do­sko­na­ła!*☺

*Eee tam, ta­kie mę­skie ga­da­nie*☺*! Pa­mię­taj, że im bar­dziej na­chal­ne i nie­praw­dzi­we są po­chleb­stwa, tym szyb­ciej za­ni­ka­ją wraz z za­śle­pie­niem, cza­sem za­raz po pierw­szym bzyk­nię­ciu. Wiedz, mój dro­gi, że nie lecę na lep­kie słów­ka, a uwo­dze­nie to sztu­ka mó­wie­nia nie wprost. Ale też przy­znam szcze­rze, że by­ło­by mi bar­dzo miło usły­szeć taki kom­ple­ment, gdy­byś mnie już do­brze po­znał*☺.

*Ale ja nie kła­mię! Umiem ob­ser­wo­wać.*

*Daj spo­kój, czu­ję się za­że­no­wa­na. Clau­di­ne mówi, że fa­ce­ci czę­sto tak ro­bią.*

*To zna­czy jak? Że mó­wią kom­ple­men­ty bez po­kry­cia?*

*To też, ale cho­dzi o po­przed­ni wą­tek. Męż­czyź­ni pra­gną zmian w part­ner­kach z po­wo­du swo­ich kom­plek­sów. Naj­chęt­niej chcie­li­by, żeby były na ich wzór i po­do­bień­stwo, a na pew­no nie lep­sze ani, nie daj Boże, mą­drzej­sze* — wy­rzu­ci­łam z sie­bie wy­ra­zy jed­nym cią­giem, jak­by po­glą­dy mo­jej przy­ja­ciół­ki sta­ły się już mo­imi. — *Dla­te­go bio­rą młod­sze, żeby je so­bie wy­cho­wać*— do­pi­sa­łam z prze­ko­na­niem.

*Wy­bacz, że o tym wspo­mnę, Clau­di­ne, ale zda­je się, że je­ste­śmy w po­dob­nym wie­ku, więc nie we­zmę Twych słów do sie­bie*☺*. Ale z in­nej becz­ki: skąd bę­dziesz wie­dzia­ła, że to on? Ten wła­ści­wy męż­czy­zna?*

Do­brze, że zszedł z te­ma­tu, bo już się na­krę­ca­łam. Dłuż­szą chwi­lę się za­sta­na­wia­łam, bo choć to było pro­ste py­ta­nie, to od­po­wiedź nie­ła­twa.

*Wiem, kie­dy nim nie bę­dzie.* — Uwol­ni­łam fan­ta­zję. Tego typu roz­wa­ża­nia po­zwa­la­ją na two­rze­nie świe­żych sko­ja­rzeń i re­flek­sji, dla­te­go uwiel­biam w ten spo­sób dys­ku­to­wać, a Jean-Marc, pro­wo­ku­jąc mnie do roz­mo­wy na tak in­te­re­su­ją­cy te­mat, zy­sku­je u mnie „plu­sy do­dat­nie”. — *Je­śli w jego to­wa­rzy­stwie będę za­uwa­żać in­nych męż­czyzn, to uznam za sy­gnał, że mój or­ga­nizm nie za­koń­czył po­szu­ki­wań Tego Je­dy­ne­go i trak­tu­je mo­je­go ak­tu­al­ne­go fa­ce­ta jako tym­cza­so­we­go, nie­do­ce­lo­we­go, nie­wy­star­cza­ją­ce­go, bez wzglę­du na to, czy je­stem w sta­nie przy­znać się do tego przed nim, a na­wet przed samą sobą.*

*A tego chce­my unik­nąć, praw­da? Nie chce­my to­wa­ru za­stęp­cze­go?*

*Oui, mon­sieur*☺*. Pod­rób­kom mó­wi­my: dość!*

*Zgo­da!*

Po pau­zie do­pi­sał:

*Je­steś nie tyl­ko ślicz­na i cie­pła, ale też bar­dzo mą­dra!*

*Prze­stań chrza­nić far­ma­zo­ny! Nie lu­bię tego… Za­wsty­dzasz mnie!*

*To, że prze­sta­nę, ni­cze­go nie zmie­ni. Nic nie zmie­ni tego, że je­steś wspa­nia­ła.*

Cza­ruś! Po na­my­śle wy­sła­łam mu uśmiech, a po­tem jesz­cze je­den.

Ko­lej­ne ty­go­dnie to nie był dla mnie do­bry czas. Nie ukła­da­ło mi się w spra­wach oso­bi­stych, więc kon­takt z Je­anem–Mar­kiem stał się od­skocz­nią od co­dzien­nych zmar­twień. Cze­ka­łam na wy­mia­nę zdań, na to, bym mo­gła się mu wy­ża­lić, opo­wie­dzieć o ja­kichś dro­biaz­gach; zwy­czaj­nie wy­mie­nić opi­nie o czymś obo­jęt­nym albo się po­śmiać. J.-M. po­tra­fił z ła­two­ścią na­stro­ić mnie po­zy­tyw­nie, roz­ba­wić, za­jąć moją gło­wę czymś od­mien­nym od sza­rej rze­czy­wi­sto­ści. By­łam mu bar­dzo za to wdzięcz­na. Po­czu­łam, że jest mi po­trzeb­ny przy­ja­ciel, któ­ry nie bę­dąc ko­bie­tą, po­mo­że spoj­rzeć na róż­ne spra­wy z in­ne­go punk­tu wi­dze­nia niż ko­cha­na, za­zdro­sna o nie­go Clau­di­ne.

*I cze­mu nic nie pi­szesz, Chérie?* — za­cze­pił mnie któ­rymś ra­zem.

*Mam gor­szy mo­ment.*

*Co się dzie­je?*

*Ta­kie tam, spra­wy oso­bi­ste.*

*Mogę Ci po­móc? Ła­twiej po­dob­no wy­ga­dać się nie­zna­jo­me­mu.*

*Mój były mąż... Albo nie…*

*Jak chcesz.*

*Chcę.*

*No, to co się dzie­je?*

*Szan­ta­żu­je mnie. Mówi, że nie da mi roz­wo­du, do­pó­ki nie od­dam mu na­sze­go miesz­ka­nia.*

*A co Ty na to?*

*A ja na to jak na lato. Nie od­dam mu!*

*To jego dom?*

*Miesz­ka­nie. Ku­pi­li­śmy je ra­zem, ale to praw­da, że więk­szość wkła­du po­cho­dzi­ła od jego ro­dzi­ców. Ale prze­cież ja tak­że przez lata utrzy­my­wa­łam je z wła­snej pra­cy i moje pie­nią­dze tak­że były w nie in­we­sto­wa­ne, więc to nie jest tyl­ko jego wła­sność. Mam w niej swo­je udzia­ły. To okrop­ne!*

*Ro­zu­miem.*

*Wąt­pię.*

*Bo?*

*Bo to nie­spra­wie­dli­we i pod­łe. To on mnie zdra­dził, po­rzu­cił i od­szedł, te­raz zaś pró­bu­je się ode­grać, a wła­ści­wie mnie okraść. W do­dat­ku, w prze­ci­wień­stwie do mnie, on ma gdzie miesz­kać. A ja nie mam tu ro­dzi­ny ani ro­dzi­ców. Nie mia­ła­bym gdzie się po­dziać.*

*A co na to sąd?*

*Nie było sądu. Tyl­ko ne­go­cja­cje praw­ni­ków. Zresz­tą gdy­by był, toby po­wie­dział, że­by­śmy się po­go­dzi­li.*

*Nie mo­że­cie się po­go­dzić?*

*Ni­g­dy w ży­ciu! On ma babę, a wła­ści­wie ją miał, bo się na nim po­zna­ła i go wy­go­ni­ła, poza tym za­wiódł mnie i w ogó­le to nie­moż­li­we.*

*Co za­mie­rzasz da­lej, Sło­necz­ko?*

*Nic. —* By­łam tak prze­ję­ta i przy­bi­ta swo­ją sy­tu­acją, że na­wet nie za­uwa­ży­łam tego „Sło­necz­ka”. A może za­uwa­ży­łam, tyl­ko nie chcia­łam się przy­znać, na­wet przed sobą, że mi się spodo­ba­ło? *— Nie wiem na­praw­dę. Naj­chęt­niej bym się go po­zby­ła raz na za­wsze, ale jak żyć bez miesz­ka­nia? Wy­naj­mo­wać od ob­cych na sta­re lata? I za co? U nas ceny są astro­no­micz­ne, bo lu­dzie są na­sta­wie­ni na krót­ko­ter­mi­no­wy na­jem dla tu­ry­stów.*

*Na ja­kie sta­re?*

*Do­bra, do­bra. Wiem, co mó­wię, czło­wie­ku*☺*.*

*I co za­mie­rzasz zro­bić?*

*Po­szu­kam go­ścia z miesz­ka­niem, ha­ha­ha! (żart, oczy­wi­ście)*

*Wca­le nie śmiesz­ne.*

*Wiesz, że żar­to­wa­łam!*

*A ja nie:(.*

*No, nie na­bur­mu­szaj się! Ura­zi­łam Cię? Prze­pra­szam.*

*Ja mam miesz­ka­nie.*

*Ale co mi do tego?! Na­praw­dę żar­to­wa­łam. A poza tym ja miesz­kam w Car­cas­son­ne, a nie gdzieś tam, da­le­ko hen!*

*Okej.*

*No wła­śnie. Za­kończ­my ten przy­kry te­mat.*

*A może ku­pił­bym miesz­ka­nie w Car­cas­son­ne i Ci je wy­na­jął?*

*Jean-Marc, po­wie­dzia­łam: dość! Po­wstrzy­maj ko­nie!*

*Nie obie­cu­ję tego, cze­go nie mogę dać. To jest moż­li­we.*

*Ale ja Cię nie znam, więc nie bę­dzie­my o tym roz­ma­wiać! Zro­zu­mia­łeś?*

*Okej.*

*Usta­lo­ne?*

*Tak.*

*Raz na za­wsze?*

*Oui.*

*No i do­brze.*

Chwi­lę się nie od­zy­wa­łam. On za­milkł. W ogó­le prze­szła mi chęć do dal­szej dys­ku­sji, ale po­tem do­szłam do wnio­sku, że chło­pi­na chciał do­brze. Jest uro­czy. To było miłe. Po­sta­no­wi­łam więc się ode­zwać, lecz zmie­nić kie­ru­nek tej pi­sa­ni­ny.

*A co tam cie­ka­we­go u Cie­bie, w tej da­le­kiej Pol­sce? Gdzie to jest? (żar­cik)*

*Za da­le­ko i za zim­no.*

*Zim­no? O tej po­rze roku?*

*Tak, jest dwa­na­ście stop­ni.*

*Okrop­ność! Brrr.*

*Nie­ste­ty!*

*U nas jest te­raz bli­sko dwu­dzie­stu… A tak w ogó­le to Ci dzię­ku­ję.*

*Za co?*

*Za tę pro­po­zy­cję lo­ka­lo­wą. Te­raz do mnie do­tar­ło, że chcia­łeś być uczyn­ny*☺*.*

*Le­piej póź­no niż wca­le*☺*.*

*Zdra­dzi­łam Ci już moje ulu­bio­ne po­wie­dzon­ko na ta­kie sy­tu­acje: „grze­biesz w bom­bie, chło­pie”? Uży­wam go, gdy ktoś zbli­ża się nie­bez­piecz­nie do pew­nej nie­prze­kra­czal­nej gra­ni­cy*☺*, po któ­rej do­sta­nie z li­ścia.*

*I?*

*Do­grze­biesz się!*

*Mam taką na­dzie­ję*☺*.*

*Miej*☺*.*

Cza­ru­ją­cy ło­bu­ziak.

Któ­re­goś wie­czo­ru J.-M. roz­po­czął ko­re­spon­den­cję w na­stę­pu­ją­cy spo­sób:

*Uwa­żam, że nad­szedł już czas…*

*Na co?*

*Żeby w do­bie elek­trycz­no­ści i ato­mu wy­ko­rzy­stać tech­ni­kę do usły­sze­nia swo­ich gło­sów.*

„Tyl­ko nie pa­ni­kuj” — roz­ka­za­łam so­bie w pierw­szym od­ru­chu, jed­nak było za póź­no. „Od­dy­chaj” — po­ra­dzi­łam so­bie, tak­że po­nie­wcza­sie.

*Swo­ich wza­jem­nie czy Ty swo­je­go, a ja swo­je­go?* — spró­bo­wa­łam wy­mu­szo­nym żar­tem od­cią­gnąć jego uwa­gę, a może ku­pić czas, pew­nie jed­no i dru­gie.

*Bar­dzo dow­cip­ne!*

*Ale po co?*

*Masz ra­cję. To bez­ce­lo­we* — od­pi­sał, a ja zgłu­pia­łam.

Za­milkł. To nie jest stan­dar­do­wy fa­cet. No i dzię­ki Bogu!

*Grze­biesz w bom­bie, chło­pie. Je­steś tam jesz­cze?*

*Je­stem. Cze­kam przy de­to­na­to­rze. Za­dzwo­nisz czy ja mam to zro­bić?*

Za­drża­łam z emo­cji i zde­ner­wo­wa­nia. Kom­plet­nie mnie tym wszyst­kim za­sko­czył i prze­ra­ził. „Co ja so­bie wy­obra­ża­łam, że bę­dzie tak pi­sał ze mną w nie­skoń­czo­ność? To jest sil­ny gość, któ­ry wie, cze­go chce” — uprzy­tom­ni­łam so­bie. Prze­ra­ża­ło mnie to, lecz jed­no­cze­śnie strach po­wo­li prze­zwy­cię­ża­ła cie­ka­wość…

*E-ma­ile są do dupy!* — ode­zwał się po prze­rwie. — *I w ogó­le nie lu­bię pi­sać, bo mam ten­den­cje do gra­fo­ma­nii, a gło­sem ope­ru­ję znacz­nie le­piej. Bar­dziej zmy­sło­wo*☺*.*

*Masz wy­bu­ja­łe ego, męż­czy­zno!* — Po kil­ku głęb­szych od­de­chach po­zwo­li­łam so­bie na żart.

*Ale bacz­nie je ob­ser­wu­ję, żeby nie wy­ro­sło po­nad mia­rę, he­he­he.*

*No, to się chy­ba za­ga­pi­łeś na coś!*

*Na Cie­bie*☺*.*

*Ja­sne, na pew­no*☺*.*

*Po­daj mi nu­mer…*

Przez te­le­fon miał cu­dow­ny, mę­ski głos. Mięk­ki, ni­ski, cie­pły… Jak­by pa­lił cy­ga­ret­kę za cy­ga­ret­ką. Ga­da­li­śmy do póź­na w nocy. A na­stęp­nie o po­ran­ku, a po­tem znów wie­czo­rem i tak nie­mal bez prze­rwy. Gdy nie mo­głam roz­ma­wiać pod­czas pra­cy, prze­sy­łał mi dzie­siąt­ki wia­do­mo­ści. Oczy­wi­ście to wszyst­ko przez in­ter­ne­to­wy ko­mu­ni­ka­tor, bo w koń­cu dzwo­nił i pi­sał z Pol­ski.

Ko­lej­ne dni zde­cy­do­wa­nie nas do sie­bie zbli­ży­ły. Roz­ma­wia­li­śmy o wszyst­kim, bez fał­szy­we­go wsty­du i głu­pich ta­jem­nic. Po­zna­łam go od tej praw­dzi­wej, ja­snej stro­ny. Nie do­strze­głam żad­nych nie­po­ko­ją­cych sy­gna­łów, żeby był nie­uczci­wy czy miał nie­cne za­mia­ry wo­bec mnie. Przez te­le­fon moż­na prze­cież wy­czuć znacz­nie wię­cej, niż kie­dy tyl­ko się do sie­bie pi­sze. Od razu sły­szysz, ja­kie kto ma po­czu­cie hu­mo­ru, czy ma po­dob­ny ba­gaż do­świad­czeń, jak re­agu­je na róż­ne tre­ści, czy jest cie­pły i by­stry. „Na pew­no bar­dzo dużo moż­na o czło­wie­ku wy­wnio­sko­wać po sa­mym gło­sie” — stwier­dzi­łam. Jed­nak im bar­dziej się an­ga­żo­wa­łam, tym bar­dziej drża­łam, że to wszyst­ko mi­raż. I tak raz za­po­mi­na­łam o swo­ich oba­wach i śmia­łam się do roz­pu­ku z jego hi­sto­ry­jek, któ­re opo­wia­da­ne ży­wym gło­sem wy­da­wa­ły mi się o nie­bo bar­dziej za­baw­ne. Na­to­miast in­nym ra­zem, może po roz­mo­wie z Clau­di­ne — co cza­sa­mi do­pro­wa­dza­ło mnie do roz­pa­czy — od­po­wia­da­łam pół­gęb­kiem, zdo­ło­wa­na jej wi­zja­mi ka­ta­stro­fy. Tro­chę się przez to od­da­li­ły­śmy od sie­bie. Chy­ba spe­cjal­nie się od niej od­su­nę­łam, aby nie słu­chać tych wiecz­nych na­rze­kań, wy­trzą­sa­nia się nad moją do­mnie­ma­ną głu­po­tą czy na­iw­no­ścią. W koń­cu to prze­cież ona wsa­dzi­ła mnie wła­sno­ręcz­nie na tego spie­nio­ne­go ko­nia, nie­praw­daż? Gdy mój roz­mów­ca tra­fiał na taki dzień, to mu­szę przy­znać, że dziel­nie da­wał radę i cier­pli­wie wy­słu­chi­wał mo­ich dą­sów.

— Jean-Marc, mar­twię się.

— Czym, skar­bie?

— Nie wie­rzę w zna­jo­mo­ści na od­le­głość. Nie prze­ry­waj mi — rzu­ci­łam do słu­chaw­ki, gdy wziął głęb­szy od­dech. — Lu­bię cie­bie i faj­nie nam się gada, jed­nak to, co bu­du­je­my, nie ma przy­szło­ści. Nie­po­trzeb­nie za­wra­ca­my so­bie w gło­wach. Zro­zum, mię­dzy nami wszyst­ko jest po­sta­wio­ne do góry no­ga­mi. Po­cze­kaj, aż się wy­ga­dam. — Znów go po­wstrzy­ma­łam od in­ter­wen­cji. — Je­śli dwo­je lu­dzi się ko­cha, na­wet gdy ich zwią­zek ma pe­wien staż, są dzie­ci i łą­czy ich usta­bi­li­zo­wa­na, doj­rza­ła mi­łość, to roz­łą­ka, czy to nie­pla­no­wa­na, czy pla­no­wa­na, zwią­za­na na przy­kład z roz­wo­jem ka­rie­ry, jest trud­nym eg­za­mi­nem do przej­ścia. Nie­ła­two ra­zem dojść do zwy­cię­skie­go koń­ca. — Wy­czu­łam, że J.-M. za­rzu­cił pró­by po­wstrzy­ma­nia po­to­ku mo­ich słów. — A my sto­imy na zu­peł­nie prze­ciw­nym krań­cu. Za­czy­na­my od roz­łą­ki, nie ma­jąc żad­nych wspól­nych punk­tów stycz­nych poza gar­ścią żar­tów, wy­mia­ną kil­ku my­śli. Nie łą­czą nas wspo­mnie­nia, wspól­ne prze­ży­cia, do­świad­cze­nia, ge­sty, do­bre i złe chwi­le. Jak mamy, a wła­ści­wie: na czym mamy zbu­do­wać na­szą przy­szłość? To jak ry­su­nek na wo­dzie, Jean-Marc.

W ko­lej­nych dniach róż­nie by­wa­ło, jed­nak po­wo­li mnie do sie­bie zjed­ny­wał i co­raz rza­dziej wpa­da­łam w smęt­ny na­strój. Nie wi­dzia­łam po­wo­du, dla któ­re­go miał­by mi zro­bić krzyw­dę. Pie­prze­nie. Clau­di­ne na­oglą­da­ła się fil­mów. A może od bra­ku chło­pa po­mie­sza­ło się jej już cał­ko­wi­cie w tej łe­pe­ty­nie? Mia­ła swo­je przej­ścia, to praw­da, i bar­dzo jej ża­łu­ję. Ostat­ni fa­cet po­trak­to­wał ją jak szma­tę: wy­ko­rzy­stał, a po­tem wy­tarł so­bie o nią nogi i po­szedł da­lej, ale to nie po­wód, żeby nisz­czyć moje ma­rze­nia i ci­che na­dzie­je.

— Czym się mar­twisz, sto­krot­ko?

Jean-Marc był taki słod­ki. Jezu, jak mi tego bra­ko­wa­ło! Praw­dzi­we­go fa­ce­ta przy boku. Ta­kie­go, któ­re­go bym sza­no­wa­ła. Któ­ry by mnie wspie­rał i po­ma­gał, gdy nie mogę wy­do­stać się z głęb­szej ko­le­iny ży­cia. Dzię­ki Ci, Pa­nie Boże, że mnie wy­słu­cha­łeś!

— Ni­czym. — Przy­znam, że tym sło­wem pie­ści­łam się ze sobą, ale za­pra­gnę­łam być taka mała, nie­po­rad­na i bez­bron­na. Cho­ciaż ten raz.

— Prze­cież sły­szę.

— Ech, zno­wu ga­da­łam z by­łym…

— W czym rzecz, *mon amo­ur*?

Nie od­po­wie­dzia­łam.

— Je­śli nie chcesz, to nie mów.

— Tym sa­mym co zwy­kle.

— Cho­dzi o miesz­ka­nie?

— Ech, nie ga­daj­my o tym.

— Mogę ci po­móc, ryb­ko?

— No, jak?

— Słu­chaj… — Zro­bił dłuż­szą pau­zę. — Bar­dzo cie­bie lu­bię.

Za­nie­mó­wi­łam. Ow­szem, wie­dzia­łam już, że się lu­bi­my, ale żeby to wy­po­wie­dzieć na głos? Sko­ro jed­nak wiem, że to praw­da, to o co cho­dzi? Za­wsze ma­rzy­łam o ta­kim fa­ce­cie. Mimo to by­łam za­sko­czo­na jego bez­po­śred­nio­ścią, no i tym wy­zna­niem.

— Halo? Je­steś? — spy­tał cie­pło. Nie­na­tar­czy­wie.

— Je­stem.

— Cze­mu nic nie mó­wisz?

— A co mam ci po­wie­dzieć?

— Co czu­jesz.

Tego się wła­śnie oba­wia­łam naj­bar­dziej, więc za­mil­kłam.

— Lu­bisz mnie? — na­ci­snął de­li­kat­nie.

Za­czę­łam go­rącz­ko­wo się za­sta­na­wiać: „Czy je­śli mu nie od­po­wiem, to go tym znie­chę­cę? Czy zre­zy­gnu­je z na­szej zna­jo­mo­ści?”.

— A za­le­ży ci na tym? — zro­bi­łam unik. Jak zwy­kle, gdy sto­ję pod ścia­ną.

— Bar­dzo… — po­wie­dział to tak go­rą­co jak ja­kiś pod­ja­ra­ny Hisz­pan, dla­te­go o mało nie par­sk­nę­łam śmie­chem. Zda­je się, że z ner­wów.

— Ale dla­cze­go? — bro­ni­łam się jesz­cze.

— Bo je­steś moim ide­ałem.

I ten cho­ler­nie sek­sow­ny, ni­ski, mę­ski głos.

— Prze­stań! Ba­sta! — spró­bo­wa­łam za­krzy­czeć jego i swój we­wnętrz­ny głos.

— Mogę za­milk­nąć, je­śli chcesz.

— Nie chcę two­ich de­kla­ra­cji. Nie znam cię, Jean-Marc. — Ucie­ka­łam, ucie­ka­łam gdzie pieprz ro­śnie.

— Nie znasz? Od kil­ku ty­go­dni wszyst­ko so­bie mó­wi­my, prze­ży­wa­my wza­jem­ne suk­ce­sy i po­raż­ki, ra­dzi­my się sie­bie w co­dzien­nych spra­wach, opo­wia­da­my o ro­dzi­nach, żar­tu­je­my i świet­nie się przy tym ba­wi­my; lu­bi­my swo­je to­wa­rzy­stwo. Czy się mylę? — Po­sta­wił zna­czą­cą pau­zę po py­ta­niu re­to­rycz­nym. — Sta­łaś mi się bli­ska. Może na­wet bliż­sza, niż gdy­bym po­znał cię oso­bi­ście…

— Dla­cze­go? — prze­rwa­łam mu, nie ro­zu­mie­jąc jego in­ten­cji. „Prze­cież chcę go spo­tkać. A on tego nie chce?”.

— Bo w ten spo­sób, przez te­le­fon, sku­piam się wy­łącz­nie na tym, o czym mó­wi­my, a na żywo nie mógł­bym ode­rwać od cie­bie oczu. To zmą­ci­ło­by moje my­śli.

Przez chwi­lę mil­cze­li­śmy. By­łam bar­dzo za­do­wo­lo­na z jego od­po­wie­dzi. „Ja­kie to szcze­re i cie­płe wy­zna­nie. Mą­dre. I tak bar­dzo mnie pra­gnie” — uprzy­tom­ni­łam so­bie za­czer­wie­nio­na. Po­czu­łam, że drżę.

— Tak, lu­bię cię — od­po­wie­dzia­łam, ale moje sło­wa grzę­zły gdzieś w su­chym gar­dle.

— Co po­wie­dzia­łaś?

— Nie po­wtó­rzę! — rzu­ci­łam tro­chę zła, że so­bie ze mnie dwo­ru­je.

— Ależ słon­ko, coś za­skrzy­pia­ło w słu­chaw­ce i nie do­sły­sza­łem…

Cho­ler­ny żar­tow­niś.

— Nie po­wtó­rzę! — rzu­ci­łam krót­ko i buń­czucz­nie, jed­nak w tej groź­bie nie ukry­łam uśmie­chu.

— No, nie daj się pro­sić! Bła­gam!

— Lu­bię cię — po­wtó­rzy­łam już nor­mal­nym gło­sem i do­da­łam od razu: — Ale tym ra­zem na­praw­dę grze­biesz w bom­bie, chło­pie! — Uśmiech­nę­łam się od ucha do ucha.

— To cu­dow­nie, Co­let­te. Dzię­ku­ję ci — wy­po­wie­dział te sło­wa ci­cho i z prze­ję­ciem, jak­by to na­praw­dę było dla nie­go waż­ne. Wzru­szył mnie tym.

— To ja ci dzię­ku­ję. Że je­steś — od­po­wie­dzia­łam, ogła­sza­jąc tym sa­mym kom­plet­ną ka­pi­tu­la­cję.

W pe­wien so­bot­ni wie­czór sie­dzia­łam na bal­ko­nie, po­pi­ja­jąc wino, a po­tem, gdy za­dzwo­nił J.-M., prze­nio­słam się do łóż­ka, gdzie był lep­szy za­sięg, mnie było wy­god­niej, a poza tym mia­łam prąd, więc te­le­fon nie roz­ła­do­wy­wał się w cią­gu, jak to zwy­kle by­wa­ło, kil­ku­dzie­się­ciu mi­nut na­szej roz­mo­wy. Lu­bi­łam uło­żyć się na po­ście­li, a te­le­fon umie­ścić obok na po­dusz­ce, jak­by mój roz­mów­ca był przy mnie i mó­wił do mo­je­go ucha.

— Co ro­bisz, skar­bie?

— Leżę.

— Już w łó­żecz­ku? O tej po­rze?

— Tak mi jest do­brze roz­ma­wiać.

— A gdzie trzy­masz rącz­ki?

— Pro­szę?!

— Py­tam, czy masz apa­rat w ręku.

— Coś czu­ję, że nie o to ci cho­dzi­ło, ło­bu­zie.

— Hmm. Nic przed tobą nie da się ukryć. A co masz na so­bie?

— Co cię na­szło?

— Co­let­te, je­ste­śmy do­ro­śli.

— Wiem — spło­szy­łam się i bły­ska­wicz­nie za­czer­wie­ni­łam.

— No, więc chy­ba mo­żesz mi po­wie­dzieć, w czym po­ło­ży­łaś się do łó­żecz­ka i gdzie trzy­masz dło­nie?

— Mogę.

— Więc?

— Mam na so­bie roz­cią­gnię­ty dres, a dło­nie trzy­mam tam, gdzie trze­ba, choć zda­je się, że wo­lał­byś usły­szeć, że je­stem w prze­wiew­nej su­kie­nu­ni, a moje rącz­ki po­wę­dro­wa­ły do­kład­nie w prze­ciw­nym kie­run­ku, czy­li tam, gdzie nie trze­ba.

— Zde­cy­do­wa­nie tak. Może spró­buj­my o tym po­roz­ma­wiać.

— Te­raz? — spy­ta­łam bez sen­su, ale zo­rien­to­wa­łam się do­pie­ro po chwi­li, gdy krew po­wró­ci­ła mi do gło­wy.

Na szczę­ście nie od­po­wie­dział.

— Okej. — Na­gle ode­zwa­ła się we mnie ko­bie­ca prze­ko­ra. — To co mia­ła­bym ro­bić?

Po­my­śla­łam, że go spło­szę i się wy­co­fa, ale się po­my­li­łam. A może w du­chu li­czy­łam, że jest praw­dzi­wym fa­ce­tem, któ­ry tak ła­two nie pęka?

— Po­łóż się wy­god­nie.

— Leżę prze­cież!

— Przy­mknij na chwi­lę ja­dacz­kę i słu­chaj — rzu­cił, ale czuć było w jego sło­wach czu­łość i uśmiech, dla­te­go się pod­da­łam. — Po­łóż rękę wzdłuż cia­ła, luź­no zu­peł­nie, a dru­gą po­wo­li roz­pi­naj blu­zę, abyś mia­ła do­stęp do swo­ich prze­ślicz­nych pier­si. Nie! — za­pro­te­sto­wał ener­gicz­nie, za­cho­wu­jąc jed­nak te­atral­ną kon­wen­cję. — Nie od­zy­waj się i nie pro­te­stuj. Wiem, że są pięk­ne — przy­ci­szył ton i go sek­sow­nie ob­ni­żył, jak­by był ja­kimś cho­ler­nym ak­to­rem albo spi­ke­rem ra­dio­wym. — A te­raz nie kom­bi­nuj, tyl­ko słu­chaj i wy­ko­nuj moje za­le­ce­nia…

„Za­le­ce­nia? To pew­nie od »za­le­ca­nia się«” — po­my­śla­łam roz­ba­wio­na, jed­nak jego głos był tak ma­gicz­ny, że nie chcia­ło mi się wal­czyć i tym ra­zem po­wstrzy­ma­łam się od ostrze­ga­nia go o grze­ba­niu w bom­bie. Po­trak­to­wa­łam tę grę jak żart i mia­łam w pla­nie za chwi­lę, góra w naj­go­ręt­szym miej­scu za­ba­wy, wy­buch­nąć sąż­ni­stym śmie­chem, któ­ry po­wstrzy­ma to, co mo­gło­by wy­mknąć się spod mo­jej kon­tro­li. Mimo tych po­sta­no­wień od­su­wa­łam ten mo­ment na co­raz póź­niej…

— Te­raz mu­śnij nią przez T-shirt pierś i po­myśl, że to moja dłoń. Tyl­ko po­wo­lut­ku. Ete­rycz­nie… O tak, cu­dow­nie. — Jego głos brzmiał, jak­by Jean-Marc był tuż przy mnie i wszyst­ko ob­ser­wo­wał z za­do­wo­le­niem. — Po­liż pa­lec, któ­ry przed chwi­lą pie­ścił bro­daw­kę…

Zro­bi­ło mi się cie­pło. Ni­g­dzie kon­kret­nie na ra­zie.

— Dru­gą ręką unieś ko­szul­kę, aby pierw­sza, ta moja, z kro­pel­ką śli­ny, mo­gła się tam wśli­znąć. Prze­bie­gnij opusz­ka­mi nad skó­rą brzu­cha, tak bli­sko, by wy­czuć pod­no­szą­ce się pod jej wpły­wem wło­ski. Czu­jesz bi­ją­ce od dło­ni cie­pło? Roz­łóż sze­ro­ko pal­ce, aby ogar­nia­ły jak naj­więk­szą prze­strzeń two­je­go brzu­cha. Jedź po­wo­lut­ku do góry, aż do­się­gniesz pier­si, a po­tem ze­gnij wil­got­ny pa­lec i zwilż nim su­tek. Czu­jesz de­li­kat­ny prąd, któ­ry scho­dzi w nie­okre­ślo­ne miej­sce w dole, we­wnątrz two­je­go roz­ma­rzo­ne­go cia­ła?

Zro­bił pau­zę, a ja nie wie­dzia­łam, czy mam mu od­po­wia­dać, czy sku­pić się na prze­pły­wie ener­gii pły­ną­cej z opusz­ka pal­ca w głąb mo­ich lę­dź­wi.

— Te­raz wy­puść ma­te­riał ko­szul­ki z dru­giej ręki i jej pal­ce wsuń pod brzeg spodni, aż po­czu­jesz brzeg maj­tek.

Chcia­łam prze­łknąć śli­nę i zwil­żyć usta, lecz nie mia­łam czym.

— Nie mam maj­tek — za­pro­te­sto­wa­łam nie­wy­raź­nie, lek­ko dy­sząc.

— Tym le­piej… — Zszedł do szep­tu, któ­ry do­cie­rał wprost do mego ucha. — Za­nu­rzaj więc je głę­biej, bez żad­nych gra­nic, nie prze­sta­jąc gła­dzić pierś i po­cie­rać bro­daw­kę…

— Co ro­bisz, Jean-Marc? — Trud­no po­wie­dzieć, czy to było py­ta­nie, przy­ga­na, czy nie­do­wie­rza­nie.

— Cśśś… — szep­nął mięk­ko. — Skup się na ru­chach rąk. Naj­dłuż­sze pal­ce dru­giej dło­ni po­win­ny już na­po­tkać wło­ski u pod­nó­ża nie­wiel­kie­go wzgór­ka. Nie ma ich tam zbyt wie­le, ale są bar­dzo wraż­li­we, jak­by były po­uty­ka­ne w ko­mór­kach ner­wo­wych, za­koń­czo­nych gdzieś po­ni­żej w mięk­kim, go­rą­cym cie­le. Nie sku­piaj się na tym, skąd to wiem, tyl­ko wy­obraź so­bie, do­kąd ze­śli­zgu­je się dłoń.

— Chy­ba zwa­rio­wa­łeś!

— Masz ra­cję. Zwa­rio­wa­łem na two­im punk­cie, pięk­na Co­let­te. A te­raz ze zdu­mie­niem po­czu­łaś, jak bar­dzo je­steś wil­got­na, bo już daw­no przy­szło ci do gło­wy, jak to się skoń­czy…

— Jak to się skoń­czy, Jean-Marc? — wy­szep­ta­łam z tru­dem wy­su­szo­ny­mi war­ga­mi, jak­by były wy­rzeź­bio­ne z pia­skow­ca.

— Naj­pierw mój ru­chli­wy ję­zyk roz­chy­la two­je usta, a po­tem błą­dzi mię­dzy rzę­da­mi zę­bów w po­szu­ki­wa­niu two­je­go. Chwi­lę po­tem tań­czą w za­po­mnie­niu, jak­by pra­gnę­ły się do­tknąć we wszyst­kie miej­sca jed­no­cze­śnie. Na­stęp­nie zsu­wam się nim na skó­rę szyi, zwil­ża­jąc ją i ca­łu­jąc czu­le; dba­jąc, aby nie po­zo­sta­wić żad­ne­go osa­mot­nio­ne­go miej­sca, gdyż wszyst­kie za­słu­gu­ją na moją piesz­czo­tę. A po­tem… Po­tem scho­dzę ni­żej, na krót­ko za­ba­wia­jąc mię­dzy two­imi na­brzmia­ły­mi z na­pię­cia pier­sia­mi, któ­re sta­ły się tak wraż­li­we od nad­mia­ru żywo tęt­nią­cej krwi, że aż roz­pie­ra­ją­co bolą. I tyl­ko czu­łe na­wil­że­nie koń­cem ję­zy­ka każ­dej z bro­da­wek, a szcze­gól­nie po­li­za­nie ster­czą­cych sztyw­no sut­ków, przy­no­si ci jako taką ulgę. Gdy spon­ta­nicz­nie de­cy­du­ję się na uję­cie ich war­ga­mi, lek­kie za­czep­ne po­cią­gnię­cie i wy­pusz­cze­nie z ust, przez całe two­je cia­ło prze­cho­dzi deszcz dresz­czy…

Wes­tchnę­łam głę­bo­ko, krót­ko i na te­mat. „»Deszcz dresz­czy«? Skąd on bie­rze ta­kie rze­czy?” — prze­mknę­ło mi przez gło­wę, a po­tem prze­sta­łam się za­sta­na­wiać nad czym­kol­wiek, tak­że nad pla­no­wa­nym mo­men­tem zrzu­ce­nia go z tego roz­pę­dzo­ne­go ko­nia. Zwy­czaj­nie i nie­po­strze­że­nie za­słu­cha­łam się w jego głos i wio­dłam dłoń­mi, jak po­le­cił.

— Ze­gnij te­raz pal­ce i do­tknij się tam… do­sko­na­le wiesz gdzie, sucz­ko. Te­raz wy­pi­jam łyk czer­wo­ne­go wina. Och! Kil­ka kro­pel spa­dło na twój brzuch, wy­wo­łu­jąc drob­ne szarp­nię­cia pod­nie­ce­nia. Two­je cia­ło za­re­ago­wa­ło­by iden­tycz­nie, gdy­bym kost­ką lodu ry­so­wał po po­wierzch­ni skó­ry ak­sa­mit­ne ob­ra­zy. Czy czu­jesz, jak za­czę­łaś się po­ru­szać, wręcz tań­czyć bio­dra­mi w ryt­mie nie­sły­szal­nej mu­zy­ki? Wiem, że drżysz. Nie­cier­pli­wie ma­rzysz, aby ta po­dróż za­koń­czy­ła się nie­po­ha­mo­wa­nym krzy­kiem, któ­ry już ro­dzi się w two­ich płu­cach. Roz­szerz pal­ca­mi tam­te mię­si­ste, na­brzmia­łe krwią po­żą­da­nia war­gi i mu­skaj sprę­ży­sty gu­zi­czek, któ­ry uchy­la się i ucie­ka, jed­nak gdy go wła­ści­wie ująć, przy­dy­bać, aby nie mógł zwiać, za­bie­rze nas na gra­ni­cę świa­do­mo­ści. O, tak… Nie spiesz­my się. Ży­wioł w koń­cu do­pro­wa­dzi nas tam, gdzie jesz­cze ni­g­dy nie do­tar­li­śmy sami, w każ­dym ra­zie bez sie­bie, naj­droż­sza…

Już nie do­ty­ka­łam swo­je­go cia­ła tak czu­le jak na po­cząt­ku, lecz z siłą ocie­ra­łam się o swo­je dło­nie, ni­czym kot­ka na wa­le­ria­nie, nie pa­nu­jąc nad za­le­wa­ją­cy­mi mnie fa­la­mi roz­ko­szy ani wy­da­wa­ny­mi co­raz gło­śniej dźwię­ka­mi.

— Co­let­te, po­czuj, jak mój ję­zyk zna­czy szlak po nie­wi­docz­nej ścież­ce ja­sne­go mesz­ku pro­wa­dzą­ce­go do pęp­ka…

— Och!

— …po czym się wsu­wa w nie­go, ru­sza­jąc się przy tym i wier­cąc nie­sfor­nie, jak­by da­wał pro­me­sę tego, co uczy­ni do­słow­nie za chwi­lę, kil­ka pię­ter ni­żej. Pierw­szą ręką gła­dzisz już obie pier­si jed­no­cze­śnie i każ­dą na prze­mian, aby żad­na z nich nie usnę­ła, lecz żeby prę­ży­ły się ku nie­bu w roz­ko­szy.

Ro­bi­łam tak od daw­na i bez jego na­ka­zu, nie pa­nu­jąc już nad sobą w ża­den spo­sób. Nie za­sta­na­wia­łam się, co usły­szy albo po­my­śli Jean-Marc, tak jak i moi star­si są­sie­dzi.

— Scho­dzę ni­żej, skar­bie, zo­sta­wia­jąc wil­got­ny ślad ję­zy­ka aż do roz­pa­lo­nej do­li­ny, od któ­rej dro­ga dzie­li się na dwie po­ro­śnię­te na brze­gach ścież­ki, bie­gną­ce po prze­ciw­le­głych ścia­nach ogro­du roz­ko­szy. Czu­ję już za­pach i cie­pło od pul­su­ją­ce­go, so­czy­ste­go punk­tu, nie­cier­pli­wie cze­ka­ją­ce­go na har­mo­nij­ny ruch mo­je­go ję­zy­ka. Jed­no­cze­śnie dłoń­mi głasz­czę two­je nogi. Masz ślicz­ne nogi, Co­let­te, któ­re koń­czą się w raju…

Przy­się­gam, że ni­g­dy nie do­tar­łam tak da­le­ko z moim by­łym, któ­ry mógł mnie prze­cież do­tknąć. Dżi­zas, ile ja stra­ci­łam lat.